Nr. 33. Poznań, niedziela 16-go sierpnia 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Na zlot wszechsokolski w Poznaniu.
Polityka: Wynurzenia Pobiedonoscewa. — Przegląd prasy polskiej p. —ski.
Literatura i sztuka: Fata morgana (wiersz) p. Zygmunta Bytkowskiego. — Afrodyte p. Ad. D. — Nowe tematy p. K. Rakowskiego.
Szkoła i wychowanie: Prywatne instytucye oświaty ludowej w Ameryce p. Dr. fil. Józefę Kodisową. (Ciąg dalszy).
Badania naukowe: Reforma studyów lekarskich.
Życie społeczne: Kronika Warszawska przez X. W.
Feljeton: To i owo: (Andrée w podróży do bieguna. — Rozmowa Brandesa z Chińczykiem.) — Na Wyłomie: (Grafomani. — Apoteoza niemieckich Urszulanek) p. Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Odpowiedzi Redakcyi.
Odcinek: Nihilistka p. Zofię Kowalewską. (Ciąg dalszy).

Na zlot wszechsokolski *w Poznaniu.*

W chwili, gdy numer ten w świat wysyłamy, napływają ze wszystkich stron kraju do grodu naszego drużyny sokolskie, by dać świadectwo bujnego rozwoju tych zdrowych idei, które na obszarach pruskiego i austryackiego zaboru powołały do życia setki towarzystw gimnastycznych.

Obywatelstwo poznańskie z dumą i radością spogląda na gości swoich, lecz w tej ogólnej harmonii wesela rozlega się przykry denerwujący zgrzyt śruby politycznej, która od pewnego czasu z coraz większą natarczywością i siłą wpija się w ciało stowarzyszeń polskich. Dzieje zlotu wszechsokolskiego w Poznaniu stanowią charakterystyczny przyczynek do historyi gwałtownego bankructwa tych różowych marzeń, któremi stronnictwo ugodowe przez lata całe karmiło społeczeństwo polskie, a w dziejach konstytucyi pruskiej będą ciekawym dokumentem smutnej reakcyi Bismarckowskiej, zamieniającej spuściznę humanitarnych haseł ery liberalnej w szumną etykietę na fałszywem winie, w błyszczący uniform od parady, maskujący nędzę codziennego życia.

Ileż to razy w dziennikach niemieckich żółciowym głosem śmieje się satyra, której imię: „Barbarzyństwo Rosyi“. Ileż to śliny wyrzucono na żelazną stopę rosyjskiego kolosu, depcącą ludy podwładne, odtrącającą konstytucyjne zdobycze stulecia i broniącą wstępu do państwa swego „prawom człowieka“. A dzisiaj, któż przed Europą rumienić się powinien: Czy ci, którzy na łódzkim bruku przyjmują gościnnie obcych śpiewaków niemieckich, czy ci, którzy Sokołom galicyjskim bronią wstępu do grodu naszego, nad czysto fachowemi obradami delegatów sokolskich rozciągają kontrolę policyjną i wykonanie marszu gimnastycznego uważają za piorun grożący bezpieczeństwu miasta? Wsłuchując się w te dziwne wyroki spadające na społeczeństwo polskie z wyżyn rządowych, trudno zaiste zdobyć się na szacunek dla narodu, który przez sejmowych przedstawicieli swoich bije oklaski tej wstrętnej parodyi równouprawnienia i raduje się, że po latach 50 wzniosły dramat konstytucyi zamienia się w niesmaczną operetkę, w której wolność obywatelska w stroju pajaca tańczy kankana na scenie.

Stało się. Z palącem piętnem krzywdy doznanej gromadzą się Sokoły do wielkiego popisu karności, siły, zdrowia i zręczności. Dzięki prokrustowej robocie policyi pruskiej egzamin ten będzie tylko połowiczny, — nietylko zewnętrznie mniej świetny i efektowny, lecz w treści zasadniczej skurczony. Może to boleć i usta zacinać i serce dręczyć goryczą, lecz idei sokolskiej, ogarniającej coraz większe masy i przenikającej w „gąszcz narodowy“, jak mawiał Mirosławski, stłumić nie jest w stanie. Sokolstwo pójdzie dalej po wytkniętej drodze i zapatrzone w swój sztandar Spartański stanie na straży tam, gdzie dekadentyzm zachodu zapuszcza zagony swoje, pustosząc naród zniewieściałością ciała i ducha.

Przekonani jesteśmy, że obywatelstwo poznańskie otworzy drużynom sokolskim nietylko domy lecz serca pełne miłości i szacunku, - jest jednak inna nagroda, której Sokół pragnie gorąco, goręcej niż wieńców i kwiatów, goręcej niż entuzyastycznych okrzyków. Niechaj inteligencya poznańska, ta w arystokratyzm wyższej kultury jak w pancerz niedostępny uzbrojona klasa, zstąpi nareszcie z wyżyn swoich w demokratyczne niziny sokolskie i niechaj z łaskawych mentorów, którzy raz po raz raczą się zbliżać do ludu, zmieni się w druhów prawdziwych, stając w jednym szeregu z najmłodszymi braćmi, jeden wdzieje mundur, jednej słucha komendy i jednemu służy celowi. Jeżeli do dnia dzisiejszego rozwój sokolstwa nie jest prawidłowy, jeżeli kult ćwiczeń fizycznych gdzieniegdzie żółwim postępuje krokiem, jeżeli życie naszych towarzystw gimnastycznych zacina się gdzieniegdzie i haczy, to winę tych niedomagań należy w znacznej części przypisać temu, że inteligencya miejska bądź to zupełnie stroni od ruchu sokolskiego, bądź oddawszy raz jeden kartę wizytową, nie poczuwa się do obowiązku zawiązania bliższych stosunków z sokolską rodziną. Dziś właśnie w zawiązkach rozwoju współudział warstw inteligentniejszych i finansowo dobrze uposażonych mógłby towarzystwom gimnastycznym niepospolite oddać przysługi i dla tego, zamiast głośnych, w dzwonki stylowe strojnych powitań, wyrażamy w przededniu zlotu gorące życzenie, by na górnych szczeblach społeczeństwa zaroiły się wreszcie szare mundury i wraz z tem ptactwem sokolem, które z nizin wylatuje, utworzyły wielką rodzinę. Jeżeli zlot poznański w tym kierunku choćby najskromniejsze rezultaty przyniesie, to związek sokolski zapisze w księgach swoich dzień 15 i 16 sierpnia jako jeden z jaśniejszych momentów.

POLITYKA.

Wynurzenia Pobiedonoscewa.

„Jakie jest właściwe jego miano? — zapytuje autor zjadliwego epigramu rosyjskiego i odpowiada: Dla cara jest on Donoscew, dla rosyi Biedonoscew dla siebie samego Pobiedonoscew.“ Bądź co bądź — figura to niezwykła, wpływowa jak nikt inny w Rosyi z czasów Aleksandra III., a nawet i obecnie. Człowiek świecki, profesor prawa cywilnego, kierujący losami cerkwi prawosławnej i odgrywający u schyłku XIX. w. rolę na pół Grzegorza VII. a na pół Torquemady — czyż nie zajmujące zjawisko! Niewątpliwie brak temu zjawisku wielkiego tła dziejowego i głębokiego tragizmu owych starych postaci; jest ono raczej ich karykaturą, niż kopją. Ze jednak karykatura ta stoi na olbrzymim piedestale Rosyi i wyciska łzy i krew milionów, gnębi postęp i oświatę pod pozorem utrzymania ładu społecznego, gwałci sumienia ludzkie pod pozorem salwowania prawowierności, warto przysłuchać się jej własnym wynurzeniom. Niewątpliwie gwiazda Pobiedonoscewa ma się ku schyłkowi; czuje on to i w wynurzeniach jego, które opublikowpł korespondent „Neue Freie Presse“ z rozmowy swej z potężnym

„oberprokuratorem“ św. synodu, nie brak nut melancholijnych.

„Przyszłość Rosyi — mówił między innemi Pobiedonoscew — leży w pielęgnowaniu wiary i uczucia. W imię tych zasad walczyłem całe życie, to mi też narobiło dużo wrogów, którzy we mnie widzą jedyną przyczynę wszystkich zjawisk naszego życia publicznego. To fałsz. Nie jestem wszechmocnym, trzymam się w granicach mej kompetencyi urzędowej, których nigdy nie przekraczałem.

„Gdy kwestya żydowska zaostrzyła się była w Rosyi, otrzymywałem listy ze wszystkich stron świata, z Niemiec, Francyi, Anglii, Ameryki, nawet z Australii. Łżono mię, grożono mi, zaklinano, bym zaprzestał prześladować żydów. A ja panu mówię, że nie jestem winien postępowaniu z żydami w Rosyi. Mam przyjaciół między żydami, którzy mię znają dokładnie i wiedzą, że nigdy nie prześladuję nikogo za to, iż wyznaje inną religię. Jaki religijny i rzeczywiście wierzący człowiek mógłby to uczynić?

„Kwestya żydowska w Rosyi nie łatwą jest do osądzenia, jest to jedna z najzawilszych kwestyi na świecie. Otrzymaliśmy ją od Polski jako zgubny spadek, jak kawałek inwentarza. Polacy wskutek swej arystokratycznej gospodarki nie potrafili wytworzyć mieszczaństwa; jego miejsce zajęli żydzi, ale szlachta i żydzi wywierali wzajemnie na siebie bardzo zły wpływ, wskutek czego wytworzył się typ żydów, których nie można porównywać z żydami innych oświeceńszych krajów. Doprowadziło to po wsiach do smutnych objawów i nadużyć, a po miastach popchnęło młodzież żydowską do udziału w brzydkich knowaniach. Państwo musiało jakoś temu zaradzić, by zapewnić utrzymanie powagi ustaw. Chcieliśmy zrobić coś podobnego, jak wolna Ameryka z Chińczykami. Nic więcej, nawet mniej.

„Nie chodziło nam o walkę rasową. Porządnym, wykształconym żydom powodzi się u nas dobrze i będzie się zawsze dobrze powodzić. Gdy miało zapaść stanowcze postanowienie, pisał mi zmarły br. Hirsch: „Ofiaruję Rosyi 50 milionów na budowy kolejowe, jeżeli wstrzymacie swój plan gnębienia żydów.“ Odprawiłem go z tem do rządu i wyłuszczyłem mu swoje zapatrywania na sprawę. Nie musiałem mu się wydać tak strasznym, gdyż korespondował ze mną dalej. Pewnego dnia oświadczył mi, że chciałby oddać milion na cel dobroczynny. Poradziłem mu, by złożył tę sumę do rąk św. Synodu celem zakładania szkół za te pieniądze. Uczynił to. Widzi pan, Hirsch był żydem i pewnie się nie zgadzał na ogólny krzyk przeciwko mnie, w którym tak dużo jest niewiadomości, zaślepienia i świadomych oszczerstw.

„Mówią, że ja przeszkodziłem zaprowadzeniu konstytucyi w Rosyi po wstąpieniu na tron Aleksandra II. Alež wówczas nic chodziło o to. W owej smutnej chwili mowa była tylko o zwołaniu zgromadzenia, nie wiadomo dokładnie w jakim celu. Proszę pomyśleć, wśród jakiego zamętu się to działo. Przy trupie zamordowanego ojca miałem radzić synowi. Nie zwykłem ukrywać swych przekonań i nie ukrywam ich nigdy. To mój obowiązek. Dyplomatyzowanie, faryzeuszowska obłuda mojem zdaniem może czasem być największą zbrodnią. Ta otwartość, ta szczerość wobec włamanego sumienia narobiła mi również dużo wrogów. Nie dbam o to. Co wówczas zamierzono zrobić, choćby to były i najumiarkowańsze, w konserwatywnym duchu zrobione zmiany, byłoby śmiercią dla Rosyi. To wypowiedziałem otwarcie i uważałem wszelkie koncesye za niebezpieczne. Najmniejsze koncesye w podobnych sytuacyach bywały powodem największych przewrotów. To co proponował Loris Melikow, miało złe strony, że raz dane nie mogłoby być cofnięte a nie zadowolniłoby nikogo. To było wówczas, to jest i dziś moje przekonanie, którem wypowiadał, ale decyzya nie należała do mnie za to zrobiono ze mnie potwora. Ale ja kocham swój kraj i swój lud tak dobrze, jak ktokolwiek inny i nie ścierpię, by je prowadzano na złą drogę — także na drogę panslawizmu.

„Panslawizm! Co za głupie słowo. Tylko wrogowie Rosyi mogli je wymyśleć. Czego chce panslawizm? Czy sądzicie, że u nas na seryo ktoś myśli o tem, że Rosya może pożreć wszystkie słowiańskie kraje i narodowości? Wiemy, czem jesteśmy i czujemy swą siłę, ale większymi nie chcemy być. Jesteśmy największem państwem, słowiańskiem. Tego nam dosyć. Jako słowianie sympatyzujemy z innymi słowianami i życzymy, by im się dobrze powodziło pod względem religijnym i językowym. Czy to tak trudno osiągnąć w innych państwach, zwłaszcza w Austryi? Pewnie nie, byle tylko nie wpływy Jezuitów. A teraz właśnie ich pora. Prawda, rząd ich nie popiera, ale jest chwiejny. W Galicyi i na Bukowinie Jezuici panują bezgranicznie. Pragnę szczerze, by to tak zawsze nie pozostało, pragnę też, by Węgrzy szczerze stanęli na stanowisku równo uprawnienia Słowian — byłoby to i dla nich z korzyścią. Nie wypieram się tych pragnień, ale wywodzić z nich dążności panslawistyczne — to fałsz i głupota“.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie ks. Bartscha.

W sposób niezwykle ostry, w tonie wyjątkowej goryczy omawia „Gazeta Ostrowska“ stanowisko prasy i ks. arcybiskupa Stablewskiego w sprawie ks. Bartscha. (Conf. Przegląd Poznański Nr. 32). Z uwag kwestyi tej poświęconych cytujemy ustęp następujący:

„Obrzydliwa woń całej tej sprawy nie tylko przykra jest dla społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim, ale nawet woń tę odczuje całe polskie społeczeństwo kędyś daleko po za granicami zaboru pruskiego na wszystkich obszarach dzielnic Polski...

„Dziennik Poznański“ widocznie pod wrażeniem oświadczenia ks. Bartscha rozpisał się obszerniej, ale dyplomatycznie, obu stronom przyznał racyą, bo i ks. Bartschowi i ks. Arcybiskupowi. Czuć jednak, że „Dziennik“ inaczejby to wypowiedział, gdyby nie względy uboczne, które „Dziennik“ od wypowiedzenia otwartego zdania wstrzymują.

Nie tylko ks. Bartsch w swojem oświadczeniu wspomina o „ciernistej drodze“ ks. Arcybiskupa, ale i „Dziennik“ także na tę drogę nie chciałby kamieni dorzucać.

Nihilistka.

POWIEŚĆ

ZOFII KOWALEWSKIEJ

(prof. wszechnicy w Sztockholmie.)

(Ciąg dalszy).

Ta sama obojętność, jakby osłupienie, owładnęła Wierę. Słuchała obojętnie, jak żandarm meldował kapitanowi, że kochanka Wasylcewa przyszła, aby się z nim pożegnać; słyszała, jak kapitan żartował sobie z niej i dopytywał się, czy jest ładna, ale to wszystko nie sprawiało na niej żadnego wrażenia, jak gdyby jej nie dotyczyło.

— Do dyabła, puść ją, niech się ucieszy raz ostatni.

Żandarm otwarł drzwi do wnętrza pokoju, a Wiera wbiegła szybko.

— Patrzcie-no jaki ogień — zaśmiał się żandarm — ale posłuchajno, jak się nazywasz serce? nie zapomnij też o nas, jak twój luby wyjedzie — wołał za nią.

Ale Wiera nie słyszała, bez tchu biegła przez dwa, trzy pokoje, oddzielające ją od drzwi, przez szczeliny których przebłyskiwało słabe światło.

Wasylcew siedział w pokoju, który był zarazem sypialnią i pracownią. Nie rozebrał się jeszcze, zajęty porządkowaniem papierów i książek. Obszerny pokój miał teraz ów smutny, nieporządny wygląd, jaki zawsze spostrzegać się daje przed wyjazdem. W kącie na wąskiem żelaznem łóżku leżała bielizna; teki i zeszyty, skrawki papieru, podarte listy, stare rachunki leżały na podłodze. Dwie wielkie paki napchane były książkami, puste półki wzdłuż ścian, wyglądały jak nagie szkielety. W pośrodku pokoju leżała otwarta walizka, w której było widać bieliznę, suknie i parę butów.

Gdy Wiera otwarła drzwi, owładnęło nią pierwszy raz od chwili gdy wyszła z domu tak silne wzruszenie, że zdawało jej się przez chwilę, że serce jej bić przestało. Stała na progu, nie mogąc zrobić kroku ani wymówić słowa.

Wasylcew siedział odwrócony plecami do drzwi, pochylony nad biurkiem, tak zatopiony w swej pracy, że nawet skrzypnięcia nie słyszał. Gdy się za chwilę przypadkiem odwrócił i nagle ujrzał wysmukłą postać Wiery, twarz jego nie wyrażała zdziwienia, tylko nadzwyczajną radość, jak gdyby jej oczekiwał, jakgdyby był pewny jej przybycia. Przypadł do niej i przez parę sekund stali naprzeciw siebie, ściskając się za ręce, nie mówiąc ani słowa, jakgdyby gardła ich kurczem ściągnięte były. Ze stłumionem łkaniem podeszła Wiera bliżej do niego. Za drzwiami usłyszano kroki, czuć się dała nagle w pokoju obecność trzeciej osoby. Dreszcz nerwowy, jakby obrzydzenie fizyczne wstrząsnęło Wasylcewem.

— Wiero, moja droga, uspokój się na miłość boską! nie jesteśmy sami, podsłuchują nas, nie pozwólmy, aby te łajdaki bawili się naszą męką — szepnął Wasylcew.

Całe jego panowanie nad sobą powróciło znowu, wziął ją za rękę i usiadł z nią na sofie, usunąwszy stos książek. Twarz jego była blada, kąciki ust drgały mu od czasu do czasu, żyły nabrzmiewały jak postronki na skroniach, ale mówił głosem spokojnym, łagodnym o rzeczach obojętnych.

— Tu w tej pace leżą te książki, które pani zostawiam, zacząłem z panią czytać Spencera, znajdzie tam pani uwagi ołówkiem poczynione, zrobiłem je dla pani.

Siedziała nieporuszona, jak zdrętwiała, ręce zaciskała tak mocno, że paznokcie jednej ręki wpiły się w drugą. Słowa jego uderzały jej ucho, jak niewyraźne dźwięki bez treści. Gdy się zwrócił do niej z pytaniem, odpowiadała mechanicznem skinieniem głowy, mówić nie mogła, gdyż czuła, że za pierwszem słowem wybuchnie łkaniem. Uderzanie wahadła ściennego zegaru rozbrzmiewało wyraźnie. Wielki chrząszcz wleciał z głośnym przerywanym brzęczeniem, umilkł na chwilę, potem jak wściekły zaczął uderzać w okna i sufit.

Słowem są tu wykręty dyplomatyczne, czcze frazesy, bezcelowe utyskiwania, słowa prawdy połowicznie wypowiedziane, ale nikt tej sprawy nie traktuje ze stanowiska społeczno-narodowego.

Gdyby sobie ks. Bartsch dostał był pisemne napomnienie za czyn „szorstkiego obejścia się z Gronostajem" (odtąd zapewne księża będą z należytem ugrzecznieniem dla podobnych gburów) i napomnienie to w kieszeń schował, byłaby ta sprawa czysto karności kanonicznej pomiędzy księdzem a jego władzą duchowną. Gdy jednak ks. Bartsch zmuszony został do opublikowania swego oświadczenia w gazetach, i to w formie tak upokarzającej, prawdopodobnie z góry mu nakazanej, sprawa ta przestała być sprawą duchowną, a stała się sprawą zasadniczą, sprawą ogólną, społeczno narodową. Upokorzeniem kapłana katolickiego Polaka w tak poniżający sposób, upokorzono i znieważono całe społeczeństwo polskie.

Powszechnie wiadomo, że ks. Arcybiskup Stablewski z całym klerem w swojej archidyecezyi postępuje nadzwyczaj despotycznie, i to nietylko w stosunkach duchownych, ale i społecznych. Ks. Arcybiskup narzuca księżom swoje przekonanie polityczne, i tym księżom, którzy są zwolennikami jego przekonań, dobrze się dzieje, innym zaś niekoniecznie, bo jest dla nich nieugięty. Na tej przeto podstawie twierdzimy, że ks. Arcybiskup nakazał ks. Bartschowi umieścić znane oświadczenie w tak upokarzającej formie.

Ks. Arcybiskup uprawia politykę t. zw. dworską czyli ugodową, której skutki widzimy w tych t. k. błogich łaskach dla kraju, dla narodowości polskiej i Polaków.

Każdemu wolno mieć swoje przekonania polityczne i uprawiać na swój sposób politykę, ale ks. Arcybiskup uprawia ją na szkodę kraju i społeczeństwa polskiego, bo ks. Arcybiskup Stablewski nadużywa swego historycznego stanowiska, i jako Prymas Polski, jako Interex, chce swoją politykę ugodową narzucać nietylko Polakom pod zaborem pruskim, ale nawet całemu społeczeństwu polskiemu.

Niemcy śmieją się i szydzą złośliwie z tych zachcianek ks. Arcybiskupa Stablewskiego, drażni ich to przybieranie władzy „Interexa". Społeczeństwo polskie nie myśli wcale poddawać się pod przewodnictwo ks. Arcybiskupa Stablewskiego wraz z jego polityką dworską czyli ugodową, a Polakom nie przynosi to żadnej korzyści, ale owszem ich na straty naraża.

Upokorzenie ks. Bartscha jako kapłana Polaka jest zarazem upokorzeniem arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Do czegóż teraz dojdzie w tej przesławnej archidyecezyi poznańsko-gnieźnieńskiej, gdy Arcypasterz pozbawia kapłanów możności odporu wpływów germanizacyjnych. Czyż Arcypasterz chce oddać swoje owieczki polskie na łup germanizacyjnych wilków?

Tego nawet za rządów Arcypasterza nierodaka nie było.

Oto owe złote góry, które z rządów Arcybiskupa-Rodaka obiecywano?"

Tej samej sprawie poświęca „Orędownik" następujące uwagi, nawiązując do mdłych, lękliwych, krętackich komentarzy „Dziennika Pozn.":

„Dla czego „Dziennik Pozn." wysunął tak manifestująco „ciernistą drogę" ks. Arcybiskupa, trudno zrozumieć. Że ten zwrot znajduje się w deklaracyi ks. Bartscha, to jest dość zrozumiałe: ów zwrot miał zasłonić owo monitum, które mu się dostało. Ale „Dziennik Pozn." nie jest monitowanym proboszczem i od kiedy to u niego datuje się era „ciernistej drogi" ks. Arcybiskupa? Czytelnicy „Dzien. Pozn." nie znają żadnej „ciernistej drogi" ks. Arcybiskupa, chyba tylko drogę, która miała być wysłana różami, co najmniej — kwiatkami. Toć to nie kto inny, tylko „Dziennik" razem z „Kuryerem wmawiali w wszystkich gwałtem, czy kto chciał wierzyć czy nie, że „Arcybiskup-Rodak" przyniesie narodowi polskiemu Bóg wie co. Złote góry obiecywano wszystkim, a kto nie chciał wierzyć, to go lżyli i wyzywali. Czy „Dziennik" sądzi na seryo, że wszyscy zapomnieli, jak w Poznaniu i na prowincyi — na rachunek „Arcybiskupa-Rodaka" dokazywano, z jaką gęstą miną chadzano po arenie politycznej; jak do ministrów słano memoryały, deputacye j zapowiadano naprzód, co to za szczęśliwe czasy nastaną, jak „Arcybiskup-Rodak" zasiadł na tronie prymasów polskich!

Zkąd przychodzi „Dziennik" do cierni? Przecie te liczne tytuły, odznaki i wstęgi papieskie, jakiemi z łaski „Arcybiskupa-Rodaka" zostali zaszczyceni właśnie matadorzy, stojący za „Dziennikiem" o wszystkiem świadczą, tylko nie o „ciernistej drodze", której nie było a nawet nie ma, bo jeżeli jest w tem coś, czem „Dziennik Pozn." — nie przeczymy — nie bardzo zbudowany, to jest coś innego, ale nie „ciernista droga".

Dotąd formalnie wszystko szalało przy muzyce polityki partyi dworskiej; naraz zaczynają sarkać, że ciernie czują pod stopami.

Lamentacyami na „ciernistą drogę" ks. Arcybiskupa ani „Dziennik" ani inne organa partyi dworskiej nikogo w pole nie wywiodą."

* * *

Germanizacya w seminaryach.

„Gazeta Toruńska charakteryzuje w Nr. 183 hakatystowskie tendencye gdańskiego „Volksblattu" i takie w końcu załącza uwagi:

„Ubolewamy wszakże szczerze, że takie właśnie pismo zalecono do czytania przyszłym naszym duszpasterzom w seminaryum duchownem w Pelplinie. Czy kierownicy tego zakładu życzą sobie, aby duchowieństwo przejmowało się tą samą nienawiścią do Polaków, jaka przebija z łamów zarażonego widocznie hakatyzmem pisma? Nie mielibyśmy nic przeciw czytaniu przez kleryków nie tylko Niemców) „Volksblattu", bo ten, kto ma niebawem zacząć pracę nie tylko religijną, lecz także społeczną, kto — jak np. ks. Melz — w kilka lat po wyjściu z seminaryum duchownego stanąć może na czele wielkiej parafii, powinien poznać gruntownie stosunki, wśród których pracować mu wypadnie. Do tego wybornym środkiem jest czytanie gazet, zwłaszcza wydawanych w danej prowincyi. Aby sobie wszakże wyrobić sąd bezstronny, trzeba czytać równocześnie pisma wszelkich kierunków. Tymczasem w seminaryum duchownem w Pelplinie, obok wychodzącego tam codziennie i bardzo wojowniczego „Volksblattu" wolno z pism zachodnio-pruskich czytywać tylko „Pielgrzyma", który wychodzi tylko trzy razy tygodniowo i odznacza się nadmiernem za-

---

Wiera doznawała uczucia, jakgdyby czas wyciekał z pękniętego naczynia kropla za kroplą; coraz mniej tego kosztownego płynu. Rozłąka zbliża się na długie, długie lata, może nazawsze. Ani jednego słowa, ani jednej pieszczoty. Jak obcy siedzą naprzeciw siebie, a w przyległym pokoju słychać lekki szmer.

Płomień świecy nagle pożółkł, okno ze spuszczoną firanką, przed chwilą jeszcze ciemne, teraz nabrało niebieskawo-liljowych blasków: na dworze zapiał kogut, wróble ćwierkały, krowy ryczały — zwykłe przedsłanniki ranka wiosennego na wsi.

Zimna, tępa rozpacz owładnęła Wierę. Teraz zrozumiała pierwszy raz całą beznadziejność rzeczywistości. Dotąd leżało zawsze między nią, a końcem, oczekiwane szczęście ujrzenia go. Niejasna nadzieja czegoś nieokreślonego była w niej tak silną, że zaciemniała myśl o rozłące. Teraz jednak nic nie pozostawało, wszystko się skończyło.

Wasylcew wstał, podniósł roletę i otworzył okno. Jasny snop cudownego, wiosennego poranku wpadł do pokoju; światło, hałas, woń kwiatów, dźwięk pieśni — wszystko to wpływało do pokoju wesoło, tryumfująco, okrutnie.

Szybkim mimowolnym ruchem zatrzasnął Wasylcew okno i spuścił roletę. Rzucił się na sofkę i zaszlochał głośno, jego wielka, silna postać drżała od łkań.

Wiera przypadła ku niemu, rzuciła się do nóg jego i tuląc się do niego, okrywała go pocałunkami.

— Mój drogi, nie jedź sam! moje życie! zabierz mnie z sobą.

Wasylcew dusił ją prawie w swych ramionach. Teraz nie myślał jej uspakajać; odpowiadał na jej gorące pieszczoty; usta ich spotkały się pierwszy raz w długim namiętnym pocałunku. Nagle oprzytomniał Wasylcew. Szybko, prawie szorstko odepchnął Wierę od siebie, powstał i zaczął chodzić po pokoju.

Sama przed sofką klęczała Wiera, płacząc długo i rzewnie.

Gdy Wasylcew znowu do niej się zbliżył, była jego twarz tak zmienioną, jak po długiej, ciężkiej chorobie.

— Wiero, gołąbko moja, przebacz mi wiele boleści wyrządziłem tobie, moja biedna, jakże cię mam zabrać ze sobą, czy mogę przykuć ciebie, istotę świeżą i młodą do mego starego, już prawie ukończonego życia! Tak, gdybym nawet chciał, czy pozwolą na to, czy rodzice nie odbiorą cię przemocą?

Głos jego brzmiał ponuro, głucho. Wiera nie płakała, wiedziała, że już koniec.

Już się rozjaśniło zupełnie, usłyszano głośne pukanie do drzwi, żandarm wszedł, zawiadomiając, że za godzinę wyruszą w drogę.

— Wiero, czy nie lepiej dla ciebie, abyś teraz odeszła — powiedział Wasylcew cichym, głuchym głosem.

Wiera potrząsła głową przecząco, chciała pozostać przy nim aż do końca. Dziwne odrętwienie, obojętność na wszystko, co ją otaczało, ogarnęło ją znowu. Wasylcew mówił i krzątał się także, jak we śnie. Wszyscy jego domownicy: stara kucharka, wójt, znajomi chłopi przychodzili jeden za drugim, aby się z nim pożegnać. Wchodząc do pokoju, żegnali się najpierw przed obrazami świętych, potem przystępowali do Wasylcewa i otarłszy wąsy, całowali go trzykrotnie poważnie, uroczyście, jakgdyby spełniali jakąś religijną ceremonię. Kilka kobiet z dziećmi na rękach stało przed bramą, zawodziły jak po zmarłym. Wiera patrzyła suchemi oczyma, jak ci ludzie przychodzili, wzdychali, płakali; wydawało jej się, że są maryonetki, dające dziwaczne przedstawienie.

Kapitan jadł śniadanie w sąsiednim pokoju, popijając często z flaszki.

— I panu, Stefanie Michałowicz nie zaszkodziłoby posilić się przed podróżą — mówił zachęcająco. Przez uchylone drzwi rzucał ukradkiem ciekawe spojrzenia na Wierę, nie wprost, domyślał się widocznie, że nie jest zwykłą służącą.

Tarantas zaprzężony trójką, zajechał przed bramę. Kapitan usiadł obok Wasylcewa, jeden z żandarmów usiadł obok woźnicy na koźle, drugi został jeszcze przed domem.

— Z Bogiem!

miłowaniem spokoju, co łatwo wyrozumieć, jeżeli się zważy, że każde śmielsze wystąpienie „Pielgrzyma“ może połączoną z wydawnictwem księgarnię i drukarnię na dotkliwe narazić straty. Wszystkie inne pisma polskie są zabronione.

Naszem zdaniem nakazywałaby sprawiedliwość albo w miejsce „Volksblattu“ polecić klerykom pismo katolicko-niemieckie nie wojujące z duchowieństwem polskiem, albo pozwolić, żeby klerycy prócz „Pielgrzyma“ i „Volksblattu“ czytywali inne gazety katolickie, tak polskie jak niemieckie. Zważywszy, że klerycy podczas wakacyi, a przedtem jako gimnazyaści i wreszcie jako księża czytają, co im się podoba, trudno uznać takie czasowe narzucanie pewnych gazet za pożyteczne.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Pisma polskie, które śmielej występują przeciw germanizacyi w kościele, są bojkotowane przez gorliwców katolickich duchownych i świeckich, rzekomo w interesie powagi duchowieństwa. Równocześnie cieszy się „Volksblatt“, który tak brutalnie zaczepia duchowieństwo polskie, szczególną tych kół opieką i polecany jest jako pismo arcykatolickie. Czy niektórzy księża są wyjęci z pod prawa dla tego, że za misę soczewicy nie wypierają się łączności z ludem, nad którym ich Bóg postawił? Tak to wygląda.“

Walka z anarchią.

„Kraj petersburski wzywa w najświeższym numerze do systematycznej, energicznej walki z ruchem demokratycznym na gruncie galicyjskim. Potępiając ruch, uznają olbrzymią pracę jego kierowników, a niedołęztwo partyi konserwatywnej, i tak kończy uwagi swoje:

„Agitacyę radykalną potępialiśmy szczerze i otwarcie od początku i właśnie dla tego mamy prawo równie szczerze powiedzieć, że ludzie rozumni będą musieli rzucić na szalę niezmiernie wiele pracy, niezmiernie wiele ofiarności, niezmiernie wiele zaparcia się siebie, ażeby dorównać agitatorom strony przeciwnej. Cel ich był naganny — zgoda! ale praca olbrzymia.

Byłoby prawdziwem nieszczęściem dla Galicyi, gdyby ci, którzy mają złamać tę agitacyę, wyobrażali sobie, że zdołają dokazać tego bez wielkiej pracy po redakcyach, na wiecach, po sklepikach i kółkach, a nawet po targach i odpustach. O chłodzie i głodzie pracowali tam agitatorowie radykalizmu. Smutnie się kończy akcya ratunkowa, jeżeli kierownicy jej nie widzą tego, lub widzieć nie chcą.

Przed wielu laty jeden z weteranów polityki galicyjskiej w rozmowie z piszącym te słowa takie rozwinął prawidła dla wszelkich przepowiedni i prognostyków politycznych: „Gdy chcesz wiedzieć co ludzie zrobią, nie licz na dobroć ludzką. Rachuba to zawodna. Bezpieczniej jest liczyć na głupotę ludzką. Lecz i to nie zawsze jest pewne. Najgłupszy człowiek, gdy się tego najmniej spodziewasz, wyjedzie ci nagle z czemś mądrem i od razu popsuje ci szyki. Ale, ile tylko razy będziesz miał do czynienia z naszymi, licz zawsze śmiało na lenistwo ludzkie. W każdej akcyi zbiorowej komuś się nie zechce, ktoś się spóźni lub zaśpi. Ta rachuba nie zawiedzie cię nigdy!“

Czyżby nie zawiodła i tym razem? Czyżby w walce z anarchią pokazało się znowu, że nie pokonano jej, bo jedni się spóźnili, a drudzy zaspali?...“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

FATA MORGANA.

Z okiem w dal szarą wbitem, niepomni omdlenia,
Skróś grzeskich prą się piasków! — Czasem nagie [głazy
Skądś się wyłonią — znikną: to ich drogoskazy! —
I puszcza, głucha puszcza! — Ni źródła, ni cienia!....

O nie, o tam się cudnie z piasków wypromienia
Słodko wabiące widmo zielonej oazy,
Już bliżej, coraz bliżej śmieją się obrazy! —
Więc naprzód prą się, naprzód! — wpatrzeni.....
w złudzenia!...

Dzieci, stare wy dzieci! — Jeszczeż tedy śnicie?! —
Wiecież, jak długo wasza pogoń rozhukana
Trwać jeszcze będzie, wiecie? — Całe, całe życie!

Dzieci, biedne wy dzieci! Zielona ta ściana,
Mara, za którą wszyscy tak oślep pędzicie,
Czy wiecie, jak się zowie?? —
To Fata morgana!!

Wiedeń.

Zygmunt Bytkowski.

„Afrodyte.“

Taki tytuł nosi romans, czyli raczej „Moeurs antiques“, wydany w Paryżu, a w krótkim przeciągu czasu rozchwytany w 30 wydaniach po świecie. Autor jego, Piotr Louys, stał się nagle powszechnie znaną osobistością. Napisał on już wprawdzie przedtem kilka „starożytnych“ romansów, jak „Astarte“, „Chryzis“, „Leda“ i „Ariadne“, ale wszystkie one nie doczekały się nawet drugiego wydania i dopiero ostatni stał się dla autora owem dzieckiem szczęścia, które mu przyniosło sławę i pieniądze.

Piotr Louys, młody jeszcze człowiek, posiada niezwykłe zdolności literackie. Język jego brzmi jak najcudowniejsza muzyka: ma wszystkie tony i barwy. Młody autor należy — przynajmniej dziś jeszcze — do owej klasy ludzi, których zwykliśmy nazywać naturami artystycznemi. Swobodny i dowcipny, wesoły a chwilami smętny, posiada wielkie poczucie piękna i równocześnie sporą dozę najwyuzdańszego cynizmu. Ta ostatnia właściwość jest u niego szczególnie silnie rozwinięta, z tego też powodu niezbędnym jest na ostatniem jego dziele napis, jaki nieraz spotykamy nad drzwiami:

Konie pociągnęły, a tarantas jechał, kołysząc się na rozmiękłej drodze, zniknął wkrótce na skręcie za laskiem brzozowym. Dźwięk dzwonków słabł coraz bardziej, wreszcie ucichł zupełnie, słychać było tylko zwykłe głosy, rozlegające się po wsi i polach.

Wiera wracała do domu z głową spuszczoną, nie oglądając się. Kwiecie wiśni osypywało ją drobniuchnemi białemi listeczkami, wielkie wonne krople rosy spadały na nią z gałęzi; młody zając siedział na wzgórzu porosłem mchem i bębnił przedniemi łapkami, nawołując samicę, ale zobaczywszy ludzką istotę, stulił uszy i jednym susem był już w lesie. Niebo promieniało i jaśniało, jakgdyby słońce rozlało się w lazurowym eterze, zalewając strop niebios. W górze widniał drobny, ciemny punkcik i stamtąd dolatywał potężny śpiew o szczęściu i miłości, wypełniający atmosferę.

VIII.

Cicho i powoli ubiega czas. Dzień za dniem pełznie jednostajnie, ciężko, pełen szarej ołowianej melancholii.

W pierwszym czasie po odjeździe Wasylcewa był cały organizm Wiery tak wstrząśniętym wielkim ciosem, że nie czuła nawet wielkiego żalu; wszelka zdolność życia, wzruszania się zamarła w niej, doznawała wielkiego przygnębiającego wyczerpania. Całemi dniami siedziała, jak senna, niezdolna do żadnej myśli, zdawało się nawet czasem, że wśród rozmowy zasypiała. W tej apatyi na chwilę występowały wspomnienia ostatnich godzin, spędzonych z Wasylcewem.

W uszach jej brzmiał jego miękki czuły głos; na ustach czuła jeszcze gorący pocałunek. Całe ciało wstrząsało się dreszczem wzruszenia. I dziwna, po każdej takiej chwili następowało uspokojenie, z przeświadczeniem nie dającem się zachwiać — mówiła sobie:

— Nie, to nie może być koniec, my się zobaczymy jeszcze!

Czas ubiegał, a siły jej wracały. Powróciwszy do zwykłych swych zajęć, uczuła gwałtownie potrzebę widzenia Wasylcewa, coraz gwałtowniej, z coraz większą męką, potrzebę wyrosłą z trzechletniego, codziennego przyzwyczajenia. Każdy drobiazg, każdy przedmiot przypominał jej jego, on zostawił piętno swe na wszystkich przedmiotach z jej otoczenia; do czego się wzięła, zawsze napotkała na coś, co zbudziło w niej wspomnienie przeszłości, szczęśliwych chwil mnóstwa drobnych epizodów nic nie znaczących, na które dawniej nie zwracała uwagi, ale to wspomnienie powiększało jej głęboką rozpacz.

Najgorsze bywało przebudzenie się rano. Miewała teraz tak dziwne, tak wyraźne sny: widziała go tak dokładnie, tak żywo, czuła całą swą istotą bliskość jego i wszystko było tak naturalne, z takiem mnóstwem wiernych drobnych szczegółów, zupełnie jak w rzeczywistości, że nieraz zdawało się jej, iż ze sna wołała radośnie: nie, teraz to nie jest sen, teraz to jest rzeczywistość. I naraz, jakgdyby zasłona się rozdarła, wszystko zmienia się, znika i rozpływa, cały jej organizm wstrząsa się silnie, i znowu jest sama; znowu zdejmuje ją straszne uczucie samotności. Znowu leży i rozpływa się w beznadziejnych łzach, a z każdym dniem staje się gorzej, smutek jej coraz większy.

Wiera i dawniej trzymała się zdala od swych bliskich, teraz jednak towarzystwo sióstr, ich małostkowe interesy i czcza gadanina stają się nieznośnemi. Wszystko jest dla niej bezbarwne, bez treści. Gdy się z kim spotkała, myślała tylko o tem, jakby najszybciej od towarzystwa się uwolnić: musiała być samą, myśleć poważnie, wtedy zaczynała myśleć, snuć marzenia szybko, namiętnie. Często przeżywała w duchu scenę ucieczki, uciekała z domu, szukała Wasylcewa, choćby na dnie morza. Sny sprawiały jej na parę chwil ulgę, ale nagle wynurzała się w niej zimna, orzeźwiająca myśl:

— Nie mam ani kopiejki, a do Wiatki jest 3,000 wiorst, tak, a bez pasportu... w Rosyi nigdzie się nie można udać bez pasportu, odeszlą etapem z pierwszej stacyi.

Marzenia rozpływały się, zostawał po nich gorzki, wstrętny posmak, nie było najmniejszej nadziei, zostawała tylko wiara w cud.

„Obcym wstęp surowo wzbroniony“. Obcemi są tu naturalnie jak zwykle młode dziewczęta.

Czyż jednak kierując się względami skromności, dzieło to mamy pominąć milczeniem? Sądzimy, że nie przydałoby się to na nic. Cóż pomogło Ludwikowi XVIII, że używał wszelkich sposobów, aby zatrzeć pamięć swego poprzednika? — cały świat mówił mimo to o Napoleonie. Piotr Louys nie jest wprawdzie Napoleonem, choćby na polu literatury, mimo to jednak byłoby rzeczą nie wytrzymującą krytyki pomijać go milczeniem.

Treść romansu da się bez naruszenia moralności opowiedzieć. Bohaterką jest nadobna kurtyzana Chryzis, a bohaterem piękny rzeźbiarz Demetrio, ukochany przez królowę i ubóstwiany przez wszystkie kobiety Egiptu. Akcya rozgrywa się w Egipcie w Aleksandryi, na setki lat przed wynalezieniem dobrego tonu.

Znudzony zbyt już długo trwającą miłością królowej Demetrios, ucieka pewnej nocy nad brzeg morza i przechadza się pogrążony w zadumie. Kurtyzany, które tu zwykle urządzają swe schadzki (praw zakazujących tego jeszcze wówczas nie było) pochowały się w swoich mieszkaniach. Demetrio może więc jedną przynajmniej noc spędzić spokojnie, bez udręczeń miłosnych.

Nagle spostrzega w dali przed sobą samotnie siedzącą postać kobiecą, zbliża się więc ku niej i ze zdziwieniem poznaje w niej Chryzis, ową sławną Chryzis. Pomimo młodego jeszcze wieku potrafiła już zakosztować owocu zakazanego i nie obce są już jej wszelkie namiętności i uciechy. Demetrios przemawia do niej, lecz o dziwo! Chryzis, która nigdy jeszcze nie odmówiła miłości żadnemu mężczyźnie, odmawia Demetriosowi, który dotąd jeszcze od żadnej nie otrzymał odkosza.

Odmowa ta potęguje namiętność młodego, pięknego i ognistego rzeźbiarza. Po samotnem wybrzeżu rozbrzmiewają jego skargi miłosne, którym zdają się wtórować wzburzone fale morskie. Pięknej Chryzis nie wzrusza to jednak. W końcu oświadcza, że będzie należeć do niego, pod warunkiem jednak, że spełni trzy jej życzenia.

Jakież to życzenia? — pyta Demetrios, a piękna Chryzis wylicza trzy drobnostki. Pragnie mieć zwierciadło, które jest w posiadaniu kurtyzany Bacchis. Właścicielka przywiązuje bardzo wielką wagę do tego zwierciadła, w którem się sama Safo przeglądała, Demetrios więc musi ukraść poczciwej Bacchis ten drogocenny klejnot.

Następnie żąda Chryzis grzebienia z kości słoniowej, który tkwi we włosach małżonki arcykapłana. Grzebień ten pochodzi z bardzo dawnych czasów: nosiła go pierwsza królowa Egiptu, a obecna właścicielka nigdy się z nim nie rozłącza — Demetrios musi więc ją zabić, by przyjść w posiadanie grzebienia. W końcu chce Chryzis mieć naszyjnik, zawieszony na szyi posągu Afrodyty w świątyni, posągu, który wykuł Demetrios i któremu nadał kształt i rysy ukochanej królowej. Naszyjnik ten składa się z owych najprawdziwszych pereł, które stoczyły się po białych członkach bogini, gdy ta powstawała z piany morskiej.

— Jesteś szaloną! — woła Demetrios, a Chryzis uśmiecha się i opowiada mu przeróżne historye, które nie wszystkie nadają się, aby je to można powtórzyć. Dość, że wzburzają one do głębi Demetriosa. Pragnie on ucałować usta kusicielki, ta mówi jednak: „Do jutra!“ „Będziesz miała wszystko“, szepce jej Demetrios i odchodzi.

Stosownie do obietnicy wykrada u kurtyzany Bacchis zwierciadło, zabija małżonkę arcykapłana, która go kocha (bo i któż go nie kocha!) zdziera z trupa grzebień, zakrada się do świątyni i zdejmuje z łona marmurowej Afrodyty prawdziwe perły bogini. Gdy już tego wszystkiego dokonał, usypia i we śnie widzi Chryzis i przez sen doznaje wszystkiego, co ona mu obiecała. Między egipskiemi snami, które znamy z historyi żaden nie jest taki zajmujący.

Nazajutrz wieści o trzech zbrodniach rozchodzą się po Aleksandryi. Miasto przywdziewa żałobę. Ale Chryzis tryumfuje, bo wie teraz, że Demetrios ją kocha.

Spotyka ją jednak wielkie rozczarowanie. Gdy bowiem stosownie do umowy chce go wynagrodzić, on odwraca się ze słowami: „Nie... do widzenia.“ Chryzis stoi jak skamieniała, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, nawet wówczas, gdy Demetrios mówi: „Sen wystarczy mi,“

Teraz ona kocha, teraz ona chce z siebie zrobić ofiarę, której żąda Demetrios. Chce on, by wziąwszy zwierciadło do ręki ze zrabowanym grzebieniem we włosach i perłami na szyi weszła w tłum.

W więzieniu, na godzinę przed śmiercią, przyrzeka ją odwiedzić.

Chryzis przyjmuje żądanie to z razu ze śmiechem, później jednak bierze zwierciadło do ręki, wkłada grzebień we włosy i perły na szyję i wychodzi na miasto.

Na środku miasta wznosi się wieża, otoczona dokoła tarasem, na który prowadzą szerokie schody. Po tych schodach kroczy Chryzis i staje na drugim tarasie. Z dołu dochodzi szum, jakby morskich bałwanów — to pomruk wzburzonego ludu. Nagle rozlega się z tłumu okrzyk, pochwycony przez tysiące piersi: „Afrodyte! Afrodyte!“

„To Chryzis stała naga, jak bogini, trzymając w lewej ręce końce szkarłatnej zasłony, igrającej z wiatrem, a w prawej zwierciadło, w którem odbijały się promienie zachodzącego słońca.“

W więzieniu odwiedza ją Demetrios w owym dniu, w którym przyjąć ma truciznę. Ale w obojgu zamarł dawny zapał. Demetrios duma o znikomości uczuć miłosnych, o pracach rozpoczętych i o proszonych obiadach. Chryzis wypija wreszcie truciznę. Gdy członki już zesztywniały, nadaje jej Demetrios takie położenie, w jakiem ją widział we śnie i modeluje ją w glinie. W nocy wykradają ciało dwie ubogie, małe przyjaciółki sławnej kurtyzany, niosą je na swych słabych barkach na cmentarz i tam je grzebią w poświęconej ziemi.

Romans zawdzięcza olbrzymie swoje powodzenie nie tyle szczegółom, które tu zostały wypowiedziane, ile raczej tym, które opowiedziane nie zostały. Cała akcya rozgrywa się prawie wyłącznie w jednej tylko dzielnicy Aleksandryi, nazwanej przez autora „ogrodami bogini“, a mianowicie w dzielnicy kuryzan, położonej dokoła świątyni Afrodyty-Astarte.

Autor gniewa się podobno, gdy przyjaciele i krytycy twierdzą, że starzy jego egipcyanie nie są niczem innem, jak tylko nowożytnymi paryżanami. A jednak tak jest w rzeczywistości i to może właśnie głównem jest źródłem olbrzymiego powodzenia tego

---

Z początku owładnięta bólem oburzała się: „nie można tak cierpieć, to musi się skończyć,“ ale koniec nie nadchodził. Cierpienie stawało się rzeczą powszednią, codzienną. Tylko za każdym paroksyzmem zwiększała się gorycz na myśl, jakie było wczoraj i że jutro takiem samem będzie.

Nagle, gdy Wiera już zupełnie zwątpiła, gdy jej ponury smutek stał się jej zwykłym nastrojem — zabłysła nadzieja szczęścia; dostała list od Wasylcewa. Nie mógł do niej pisać przez pocztę, policya albo rodzice nie doręczyliby jej listu, ale posłał jej wiadomości przez znajomego kupca, który był z Wiatką w stosunkach handlowych.

List był krótki, prawie oziębły, widocznie Wasylcew się lękał, żeby nie wpadł w obce ręce. Ale nigdy najdłuższy list, najnamiętniejsze wyznania nie sprawiły większej radości, jak ten mały skrawek papieru. Wiera ze szczęścia traciła prawie zmysły, jak to zwykle się dzieje, jeżeli kto wiele cierpiał cieszy się najdrobniejszą ulgą w cierpieniu tak bardzo, że mu się zdaje, iż wszystko przeszło, a ból nie istniał nigdy.

Najważniejszem było, że miała wiadomość od niego, najstraszniejszą była dla niej ta myśl, że gdzieś zginął, że zniknął tak, iż nie można mieć z nim żadnej łączności. Teraz po otrzymaniu listu, wydało jej się to rozłączenie przykrością przemijającą, nie było jednak tak przygnębiającem, beznadziejnem, jak przedtem.

Chociaż Wiera po paru minutach umiała na pamięć treść listu Wasylcewa, i nawet zewnętrzny jego wygląd pamiętała dokładnie, nie przeszedł dzień, żeby tego kosztownego skrawka papieru nie czytała po kilkakroć. W pierwszym tygodniu żyła radością z listu; później oczekiwała tylko przyszłych wiadomości.

Podobnie jak wszyscy ludzie wypełnieni wyłącznie jedną myślą mimowoli są skazani na bierną, wyczekującą rolę, stała się i Wiera bardzo zabobonną. W każdej drobnostce widziała teraz dobrą, albo złą przepowiednię, dobry albo zły znak. Objawiła się w niej dziecinna skłonność do odgadywania. Gdy rano przebudziła się, myślała sobie: jeżeli Anisia, wszedłszy do pokoju, najprzód mnie pozdrowi, będzie to znak, że wszystko pójdzie dobrze, że wkrótce przyjdzie list, jeżeli jednak nie mówiąc nic, podejdzie do okna i podniesie storę, będzie to zły znak. Wzruszona, z bijącem sercem oczekiwała na zjawienie się Anisi, a potem cały dzień bywała smutna, albo wesoła, stosownie do wyroczni.

Pomimo trudności, znalazł Wasylcew sposobność przesłania Wierze przez lato i jesień trzech listów. Gdy się upewnił, że listy dochodziły adresatki nie naruszone, zaczął pisać coraz swobodniej. Ostatni list był szczególniej czuły i dodający jej otuchy. Wasylcew skarżył się przytem na uporczywy kaszel, którego się pozbyć nie może, ale wogóle zdawał się być dobrze usposobionym i po raz pierwszy mówił o jakichś pewnych planach na przyszłość. „Robią mi nadzieję — pisał — że zesłanie moje kiedyś się skończy, ale gdyby nawet się to nie spełniło, będziesz za półtrzecia roku pełnoletnią i możesz o twej przyszłości rozstrzygać sama — moje drogie dziecko. Gdybyś wiedziała, jak szalonem marzeniom oddaje się czasem twój stary mrukowaty, kochający cię przyjaciel!“ Wiera nie posiadała się z radości po otrzymaniu tego listu. Teraz już nie rozpaczała, półtrzecia roku to nie wieczność, to minie, a po tem nic jej nie wstrzyma od podążenia do ukochanego.

Ale po tym wesołym liście nie nadchodził żaden, znajomy kupiec wyjechał nieszczęściem na czas dłuższy, przyrzekał wprawdzie, że w jego nieobecności jego zastępca będzie oddawał listy, ale tydzień za tygodniem mijał, a wiadomość nie nadchodziła. Wiera tak silnie wierzyła w szczęście, że z początku nawet niebardzo się trapiła brakiem listów — wymyślała rozmaite przyczyny dlaczego tak jest. Powoli niepokój jej wzrastał, wkrótce stał się jedynem uczuciem, wypełniającem ją całą. Wszystkie jej myśli kierowały się ku jednemu: otrzymać list. We dnie nasłuchiwała czy kupiec nie posłał kogo, nocą marzyła, że oddają jej kopertę z drogiem pismem. Męka tego oczekiwania była tak straszną, że wstrząsnęła całą jej istotą. Nieraz nawet pełna

dzieła. Nic straciłoby ono wcale na wartości, gdyby nawet udowodniono, że nie jest historycznie wiernem. Główną zaletą autora jest. że ludzie jego, pomimo całego fantastycznego otoczenia, czują, jak prawdziwi ludzie. A są epizody w dziele tem malowane z takiem mistrzowstwem, że można tylko schylić czoło przed autorem. Do tych należy scena ukrzyżowania. Piękna niewolnica Afrodisia, na którą padło podejrzenie o kradzież zwierciadła, skazaną zostaje na śmierć przez ukrzyżowanie. Dawny jej kochanek, młody epikurejczyk Tymon siedzi u stóp krzyża i pociesza umierającą. I scena ta, jak już powiedzieliśmy, oddana jest z takim nieporównanym artyzmem, że przeczytawszy ją, mimowoli odkładamy na bok książkę, a z piersi naszej wyrywa się westchnienie.

Powodzenie romansu jest zupełnie usprawiedliwione. Wprawdzie porównać „Afrodyty“ z „Salambo“ nie można, tak jak nie można porównywać Piotra Louys z Flaubertem, w każdym jednak razie należy bezsprzecznie autor jej do rzędu najzdolniejszych powieściopisarzy młodej Francyi.

Oby tylko talentu swego używał do tematów bardziej podniosłych i mniej zmysłowych. *Ad. D.*

Nowe tematy.

Nie trzeba zbyt wiele chłodnej krytycznej obserwacyi. aby dostrzedz zbliżający się przełom w piśmiennictwie odczuwa go się nerwami, jak nadchodzącą burzę. Symptomatów jest wiele. Tematy dotychczasowe tracą powoli powab i nie interesują. — poszukiwania nowych nie zawsze zadowolić mogą. Najdelikatniejszy rysunek sielanki domowej, słodkiej zacisznej spowiedzi miłosnej, z milutkiemi epizodzikami zdrady, zazdrości i nawiązania znów zerwanych nici — jest ładny, zapewne, ale — — zbyt podobny do poczciwego „Wiesława“: miłosne nieporozumienia i przeszkody zostają szczęśliwie przełamane, spokój wraca do serc zbolałych, a po dniu znojnej pracy kołysze wszystkich do snu słodka świadomość, że jutro taki sam dzień pogodny zawita, a gdyby miały być chmury, to i one wiecznemi być nie mogą.

Ładne to, wdzięczne, ale zbyt izolowane od wielkiego prądu życia, który chce dziś być tłem wszystkich czynów i myśli naszych, a nie toleruje takiego zacisznego zapatrzenia się w siebie. Na tem olbrzymiem tle najwyższem nieszczęściem nie jest — osobista klęska, a szczytem szczęścia nie jest słowo „kocham“ z koralowych usteczek, bo tysiące innych ważniejszych problematów o głowę przerosło tych małych bohaterów i ich widnokręgi. Takie obrazki, takie typy, ta sfera wzruszeń, co do dziś dnia zachwycała i wabiła, nie ma już dawnej świeżości. Sie bleibt doch ewig neu — ale tylko w praktyce.

Jak się to stało, że żądamy uwzględnienia szerszych horyzontów, że chcemy spotkać się w literaturze z uświadomieniem innych ideałów, że mamy poczucie piękna nietylko w sferze indywidualnej czułostkowości, lecz w sferze życia jednostek zbiorowych — — jak się to stało, że nie wystarcza nam dziś widzieć bohatera powieści w stosunkach do najbliżej obchodzących go osób, ale chcemy nawiązać drgnienia jego duszy do form wyżej stojących od niego, do całych prądów społecznych? — Życie samo tak dziś ludzi dostraja, że kwintessencyi jego nie mogą pomieścić w dylemacie: Kocha czy nie kocha? — I zarówno mało interesuje wszystkie perypetye miłości dwojga kochanków, których dusze zapomniały o całym świecie, a zmysły dostroiły się tylko do siebie nawzajem jak wszystkie fazy zwątpienia i samoanalizy modnego do niedawna bohatera z duszą, podobną do ciemnej głębokiej studni, gdzie oko oswoić się musi ze zmrokiem, zanim dojrzy gdzieś na dnie karykaturę szaleńca, rozdrapującego rany, które sam sobie zadał. I u niego kontemplacya własnego „ja“ pochłonęła wszystkie siły duszy, zwróciła je na wewnątrz, zamiast na zewnątrz i niepozwoliła działać tam, dokąd były przeznaczone — w społeczeństwie.

W systemie społecznym jednostka jest niejako przewodnikiem prądów, odbiera je sama i podaje dalej: a byt jej indywidualny nie istnieje o ile wyłączony zostanie z prądu. Stanowisko, jakie zajmuje jednostka wobec prądów społecznych, nadaje jej cechę charakteru, bo jest ona zaledwie maleńką cząstką tej olbrzymiej całości intellektualnej i moralnej, która też czuje i płacze, jak ona, tylko tysiąckroć potężniej, tysiąckroć silniej, która posiada szerszą i silniejszą skalę uczuć, wobec której niknie skala indywidualnych emocyi, a mierzenie wszystkiego własnem „ja“ równa się ciasnocie widnokręgu.

Jakby czarem odsłania się teraz oczom nowa, nieznana dotychczas sfera piękna z niewyczerpanemi zasobami sił i świeżości, a wobec niej jakże szczupłym jest ten zakres indywidualnych wzruszeń. któreśmy przywykli dotychczas usuwać za jedyne dziedzictwo literatury.

Mało zaznacza dotychczas literatura prób wyzyskania tej nowo odkrytej dziedziny piękna i wyzwolenia się z pod utartych szablonowych tematów, w których alfą i omegą jest pojedyńczy umysł i serce, dość wspomnieć jednak „Tkaczy“ Hauptmanna, aby mieć dowód, ile piękna nieznanego, a prawdziwego pełną dłonią zaczerpnąć można z rozległych tych obszarów, ze sfery społecznych zjawisk.

Jeśli można stawiać jakieś horoskopy co do przebiegu przyszłego przełomu w literaturze, to niewątpliwie wydaje się. odbyć on się musi pod hasłem tematów społecznych, pod hasłem wyzwolenia się z ciasnych widnokręgów, pod hasłem ścisłego związania literatury z ewolucyą społeczną.

Pierwszym wynikiem tego kierunku jest odsunięcie jednostki na dalszy plan, bo szczupły zakres jej uczuć nie wystarcza. Tematem najbardziej wyzyskiwanym z tej szczupłej sfery była miłość. Jakże nikłą i małą staje się ona wobec potężnych odruchów organizmów zbiorowych, w których krystalizuje się wola z siłą nieokiełznanego żywiołu, torując sobie drogę naprzód bez żadnych rachunków ze sobą, bez żadnych układów ze swem sumieniem i bez analizowania swej istoty! Jakże nikłą i śmieszną jest ta miłość wraz z całym orszakiem wzruszeń przedwstępnych. zwątpienia, zazdrości, roz

---

gniewu i goryczy myślała: „gdybym go była nie spotkała, żyłabym szczęśliwie, jak moje siostry.“ Raz w chwili takiego gniewu, chwyciła jego list ostatni i podarła go na drobne kawałki, ale gdy białe drobne kawałki papieru padły na posadzkę, obudził się w niej żal i rodzaj wstrętu do samej siebie, jakgdyby ręką świętokradzką targnęła się na coś, co jej było najdroższe. Całą godzinę spędziła na zbieraniu tych kosztownych strzępków i na zlepianiu ich na nowym arkuszu papieru. Na dworze jest znowu wiosna, a zawsze niema wiadomości. W pogodny dzień wychodziła Wiera na wzgórze, skąd mogła widzieć dwór sąsiada; siedziała całemi godzinami na starej ławce, pogrążona w smutku. Jednego dnia siedziała tam jak zwykle, nagle zobaczyła tarantas pocztowy, jadący gościńcem w kierunku domu Wasylcewa.

— Co to znaczy, dokąd on jedzie — myślała, a serce jej biło silnie i szybko. — Może do wioski sąsiedniej? Nie, oto spieszy po starym spróchniałym moście, teraz skręcił w aleję. Boże, kto to jest!

Wzruszenie było tak silne, że nogi jej się chwiały i nie mogła wstać. Serce zabolało ją, ściśnione bolesnem przeczuciem, a równocześnie przebiega ją dreszcz radości.

— Przynajmniej się dowiem co to jest, wszystko jest lepsze niż niepewność.

Zarzuciwszy chustkę na ramiona, biegła szybko w kierunku dworu Wasylcewa, ale im bardziej się zbliżała, tem wolniejszemi stawały się jej kroki, serce ściskało się coraz boleśniej. W wysokiej trawie przed bramą stoi pusty tarantas, woźnica zdjął czapkę i ociera sobie pot z czoła; główne drzwi na tarasie tak długo zamknięte, teraz stoją otworem. Wiera weszła do przedpokoju, do salonu — nikogo. Czuć wilgoć, przez nawpół odemknięte okiennice, wpada słabe światło.

Sprzęty, krzesła, stół, sofka stoją tak, jak w dzień jego odjazdu, wspomnienie tego strasznego ranka zbudziło się w niej. Z gabinetu słychać głos; Wiera weszła tam. Stary zarządca usiłuje otworzyć okiennice, dawna kucharka z pękiem kluczy u pasa ociera łzy fartuchem, w półcieniu rozróżnia Wiera z trudem jeszcze trzy postacie. Jedna z nich to sędzia obwodowy, dwie drugie mężczyzna i kobieta w sukniach podróżnych są jej zupełnie nieznane.

Gdy wreszcie otwarto okiennice, sędzia poznał Wierę i przystąpił doń.

Pani pozwoli sobie przedstawić: państwo Gołubińscy, krewni naszego biednego Michała Stefanowicza. W tych dniach otrzymali oni wiadomość, że ich krewny umarł w Wiatce na suchoty, wczoraj przybyli i zwrócili się do mnie, abym ich zawiózł tutaj. Według przepisów prawa, dobra te do nich należą.

Tym razem okazała się natura miłosierną dla Wiery. Usłyszawszy tę straszną wiadomość, utraciła zmysły. Zapadła w ciężką gorączkę, całemi tygodniami leżała nieprzytomna.

Powoli jednak wracała do życia i czuła, jak wszyscy rekonwalescenci po ciężkiej chorobie — wielką fizyczną radość istnienia. Z instynktem właściwym rekonwalescentom oddalała od siebie wszelką poważną myśl, wszystkie jej pragnienia koncentrowały się na drobnych radościach i cierpieniach, w które tak obfituje życie chorych, a drobiazgi te miały w jej oczach szczególne znaczenie; wszystko miało dla niej wdzięk nowości, jak dla dziecka. Cieszyła się kiedy bulion był dobrze przyrządzony i płakała, gdy poduszka nie leżała tak jak należy. Było to wielkiem wydarzeniem w domu, gdy pierwszy raz doktór pozwolił jej zjeść skrzydełko kury.

Gdy wreszcie zupełnie do zdrowia przychodzić zaczęła, a życie poszło zwykłym swym trybem, przeszłość wydała jej się daleką, jakby przykryta zasłoną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

baczy i przesytu! Jak małą ta jednostka, co takie wzruszenia podnosi do potęgi bólu wszechświata!

Wszechwładny dotychczas temat „miłość“ ustąpić musi przed ważniejszemi i piękniejszemi a równocześnie z tem zmienia się temat pokrewny „kobieta“. I schodzi już ona z misternie wyrzeźbionego, filgranowego tronu odaliski, półbożka-półniewolnicy, a zrzekając się swych przywilejów dąży do odzyskania społecznej wolności. Przemiana ta nasuwa kilka myśli, wymagających oddzielnego opracowania.

Berlin.

Kazimierz Rakowski.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Prywatne instytucye dla oświaty ludowej w Ameryce

przez

Dr. fil. Józefę Kodisową.

(Ciąg dalszy).

Jakże mało robi się u nas dla przeciwdziałaniu złemu. Jeżeli zastanowimy się nad sposobami, jakiemi u nas zdobycze kulturalne klas wyższych przedostają się do ludu, to ze wstydem wyznać musimy, że wojsko, kościół a dawniej dwór są niemal jedynemi drogami, któremi się nasz lud komunikuje z szerokim światem. Mogą nam zarzucić, że tak źle nie jest, że cywilizacya rozszerza się już przez samo życie tj. przez stosunki, jakie ono za sobą pociąga. Tak np. handel zmusza już z konieczności osobniki klas różnych do starcia się ze sobą; — to samo znaczenie ma sądownictwo, robota po fabrykach etc. Niezaprzeczenie jest w tem twierdzeniu część prawdy, ale kultura idąca wyłącznie tą drogą, szłaby istotnie żółwim krokiem. Prześlizga się ona przytem tylko po powierzchni ludu, nie wnikając w jego wnętrze. Już w historyi mamy mnóstwo przykładów stosunkowo wysoko sięgającej kultury klas wyższych i zupełnego zdziczenia fundamentów narodu. Naturalnie, że taki stan rzeczy nigdy nie trwał i nie mógł trwać długo, ale też nie wszystkie narody idą dalej w swoim rozwoju: wiele cofa się, dezorganizuje i umiera. Sama przez się, bez świadomych wysiłków we właściwym kierunku oświata nie przeniknie mas ludowych. Koryta zaś, któremi obecnie do ludu kultura dopływa, są zbyt wązkie i niewystarczające. Koniecznością jest zatem stworzyć koryta inne. Jasnem bowiem jest, że ten przedział pomiędzy klasami, jaki obecnie istnieje i coraz bardziej się powiększa, szkodzi narodowej kulturze.

Za dawnych czasów, gdy w świecie politycznym zupełnie nie było wielkich demokratycznych organizmów, niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy nie było dla pojedyńczych narodów tak groźnem jak obecnie. Mogły one dłuższy czas wegetować, pokryte pozłotą u góry i brnąc w ciemnościach u dołu. Teraz kultura tego rodzaju, już z natury rzeczy niestała, jest zupełnie znikomą. Społeczeństwa bowiem, w których światło rozkłada się równiej na całą masę narodu, postępują w kulturze bez porównania szybciej, niż te, w których cywilizacya ogranicza się do jednej klasy wyższej. Przewaga kulturalna społeczeństw pierwszej kategoryi nad drugiemi będzie tak wielką, że zagłuszy kompletnie te ostatnie. Nie tylko zbożowa konkurencya Ameryki grozi Europie! Jeszcze więcej może grozi nam oświata ludu amerykańskiego!

W Ameryce, właściwie mówiąc to, co my nazywamy „ludem“, nie istnieje zupełnie. Istnieją tylko ludzie wykształceńsi i mniej wykształceni, bogatsi i biedniejsi. A że przejścia od mniejszej fortuny do większej nie są tak bardzo jak u nas utrudnione, więc społeczeństwo amerykańskie nie jest wcale obciążone tym balastem, jaki u nas lud przedstawia. 70 milionów już świadomych obecnie i kształcących się coraz dalej ludzi stanie się wkrótce taką potęgą, przed którą bezwarunkowo upaść muszą nasze stare arystokratyczne społeczeństwa ze swoją garstką inteligentów. W Europie łudzą się jeszcze tą myślą, że średnie i wyższe klasy europejskiego społeczeństwa są bardziej wykształcone niż odpowiednie im majątkiem yankesy. Ale i takie twierdzenie pochodzi z nieznania Ameryki. Przeciwnie, w Ameryce średnie wykształcenie jest daleko więcej rozprzestrzenionem, niż u nas. Tak np. nasza klasa inteligentna w Polsce nie może się nawet porównać pod względem kulturnym z takąż klasą w Ameryce. Już ten sam fakt, że w Ameryce wszystkie kobiety pobierają takie same wykształcenie, jak mężczyźni, zmienia ten stosunek do niepoznania. Obecnie jeszcze Ameryka znacznie ustępuje Europie pod względem ludzi uczonych, których w stosunku do swego obszaru i zaludnienia posiada bardzo niewiele. Ale i to zło zostanie wkrótce usuniętem, gdyż w całem społeczeństwie obecnie już widać ogromny wysiłek w celu wytworzenia klasy uczonych specyalistów. Naturalnie, że gdy to nastąpi, nie będziemy mogli i myśleć o zachowaniu naszej kulturalnej indywidualności!

Jedyny środek przeciwdziałania jest przejęcie się u nas tą myślą, że trwała kultura nie może się wyłącznie opierać na jednej klasie. Jeżeli chcemy zachować naszą etnograficzną indywidualność, musimy dbać o podniesienie wykształcenia naszego ludu. Im równiejsze będzie to wykształcenie we wszystkich klasach, tem bardziej naród nasz zrośnie się z sobą, — tem więcej przedstawi oporu w walce o swoją duchową odrębność.

Naturalnie, że podniesieniu kulturnemu klas niższych przeszkadzają obecnie ekonomiczne warunki tj. ciężka walka o byt. Ale jednak przyznać należy, że i w tych warunkach możnaby wiele zrobić, a nie robi się prawie nic. Pochodzi to przedewszystkiem z rozpowszechnienia się wśród naszej klasy inteligentnej mylnego przekonania, że można czekać na poprawę warunków ekonomicznego bytu, nie pracując w tym czasie na polu kulturnem. W ostatnich bowiem paru dziesiątkach lat kwestya ekonomiczna tak silnie zajęła wszystkie umysły, że starano się przedewszystkiem ją samą rozwiązać. Działo się to nietylko u nas, ale i w całej Europie. Otóż już dzisiaj można widzieć w Niemczech złe skutki takiego wyłącznego zajęcia się sprawą ekonomiczną. Około 60 roku istniał tam dość silny ruch kulturny. Założono w Berlinie pewną ilość szkół w celu rozleglejszego kształcenia ludu. Szkoły te w owym czasie cieszyły się powodzeniem. Robotnicy okazywali większą chęć do uczęszczania na wykłady i zdawało się, że wszystko idzie pomyślną drogą. Ale pomału — szkoły te przekształcono wyłącznie w centra agitacyjne. Ruch ekonomiczny wypędził z nich zupełnie ogólniejsze zadania. Dziś szkoły te zamykają się jedna po drugiej*) i wykształcenie ogólne wśród ludu roboczego upada. Robotnik poprzestaje na wyuczeniu się kilku ekonomicznych formułek, które powtarza bez należytego zrozumienia i na tem koniec. Wskutek tego upada wogóle wartość nauki w pojęciu ogólnem i widzimy nawet to smutne zjawisko, że ruch robotniczy zachowuje się czasem wrogo względem wyższego wykształcenia i instytucyi, służących temu celowi. Ale nie tylko stan roboczy traci na wyłącznem zajęciu się kwestyą ekonomiczną. To samo można powiedzieć i o klasie inteligentnej. Chociaż obecna reakcya w świecie umysłowym zależy od bardzo wielu przyczyn postronnych, to jednak jednym z niezaprzeczonych powodów jest i zaprzątnięcie się wyłączne umysłów kwestyami ekonomii politycznej. Trzeba być ślepym, ażeby nie spostrzedz, że poziom humanitarny naszego społeczeństwa jeszcze przed dziesięciu laty był znacznie wyższym niż obecnie. Wielu z naszych postępowców nie wstydzi się dzisiaj występować publicznie z antysemityzmem lub potępieniem równouprawnienia kobiet. A jednak przed kilku laty nie było ani jednego członka obozu postępowego, któryby podobne zdania wygłaszał. Tracimy więc nasze zdobycze na polu kultury i te idee humanitarne, które z tak ciężkim wysiłkiem zdobyła ludzkość pracą długich wieków. A skoro raz zaniedbamy się pod tym względem, kto wie, czy będziemy później w stanie odzyskać, cośmy wpierw nierozważnie stracili!

*) Patrz Social-politisches Centralblatt z r. 1895.

Ruch ekonomiczny jest społeczną koniecznością i może iść dalej w swoim rozwoju. Ale klasa inteligentna nie powinna zapominać, że ma ona swoje specyalne zadania społeczne, których nikt oprócz niej wypełnić nie może. Takiem zadaniem jest niesienie światła swojemu narodowi, podtrzymywanie i rozwijanie dalej kulturnych zdobyczy, pielęgnowanie interesów duchowych. Spuszczenie z oka tych spraw tak ważnych grozi niebezpieczeństwem całemu narodowi. Kto nie postępuje ten się cofa, a cofanie się takie widzimy już w łonie naszego własnego społeczeństwa. Ogólne wykształcenie u nas, już nie tylko u ludu, ale i w klasach średnich, i nawet wśród samych inteligentów, stoi bezwarunkowo niżej, niż w wszystkich prawie krajach na zachodzie Europy. Zmiana gospodarki społecznej, jaka ma miejsce obecnie, wymaga natężenia sił umysłowych, do którego okażemy się niezdolni, jeżeli tak mało, jak dotychczas będziemy dbali o oświatę.

Wszelkie próby szerzenia kultury po za obrębem szkoły ograniczają się w naszym kraju do wydawnictw i pism ludowych, a z kierunku, w jakim idzie ta praca około oświaty ludu, wynosi się wrażenie, że zbyt ciasno pojęliśmy zadanie kultury. Pod tym względem musimy się uczyć u anglosaskiej rasy. Kultura wnosi się do ludu nietylko za pośrednictwem nauczania, a szczególniej nauczania rzeczy teoretycznych. W rzeczy samej nauczanie jest tylko jedną i to bynajmniej nie zasadniczą częścią całego systemu. Uobyczajenie, praktyczna etyka, towarzyskie życie, sztuka i technika grają równą, jeżeli nie ważniejszą rolę. Zasadę tego zrozumieć łatwo. Ażeby człowiek stał się zdolnym do przyswojenia sobie przedmiotów teoretycznych, musi on przedewszystkiem odebrać wychowanie, któreby go udelikatniło i wyrobiło mu gusta, podnoszące go po nad poziom grubego życia, zdolnego do odczuwania jedynie fizycznych przyjemności. Potrzeba zatem obudzić w nim i kultywować zdolność do przyjemności duchowych. U nas w tym kierunku nic nigdy nie zrobiono. Pochodzi to z tej dziwnej, a fałszywej zasady, że można człowiekowi dać wyższą naukę i

pozostawić go równocześnie na tej niższej stopie kultury, na jakiej był przedtem. Tak np. myślą u nas ogólnie, że chłop może posiadać astronomię, a obyczajami swojemi być takimże chłopem jak inni. A nawet uważamy to niemal za jego obowiązek, ażeby zachował swoje piękne chłopskie ubranie, swoje proste obyczaje i grube formy pracy. Nic tak może nie wrosło w przekonanie naszego narodu, jak uwielbienie kultury klasowej. Pozostanie przy niej, pomimo wykształcenia, uważamy za moralny obowiązek każdego uczciwego człowieka. Pan niech będzie panem, a szewc szewcem. Tymczasem nic tak nie stoi w drodze szerzeniu się kultury, jak to przekonanie. Jeżeli zbliżamy się do klas niższych, ażeby je oświecać, to musimy nieść im naszą własną oświatę, a nie jakąś specyalną oświatę klas niższych. I tak musimy nasz lud przyzwyczaić do tych pojęć etycznych i estetycznych, które są naszemi, chociaż byśmy się mieli narazić z początku na przykry widok nieumiejętnego naśladownictwa. Pracując nad oświatą ludu, trzeba zaprzestać spoglądać na ten ostatni rozmiłowanem okiem folklorzysty lub rodzajowego artysty. Oświata może być niesioną tylko i wyłącznie w imię postępu. Takim zaś postępem dla ludu jest przyjęcie kultury klas wyższych. Starać się zachowywać stare formy, a zarazem podnosić oświatę jest rzeczą poprostu niemożebną. Choćbyśmy przypuszczali nawet, że nie pod każdym względem zmiana wyjdzie naszemu ludowi na dobro, to jednak zgodzić się na nią musimy. Takie bowiem rzeczy, jak formy zewnętrzne, ubiór, obyczaje, domowe otoczenie etc. są dla klas niższych symbolem ich niższości lub zbliżania się do wyższego społecznego stanowiska.

Tę prawdę państwa posiadające demokratyczne instytucye pojęły oddawna. Dążą one nie do zachowania kultury klasowej, lecz do wytworzenia narodowej jedności, do zlania się w organizm społeczny, żyjący w imię wspólnych ideałów i świadomy wspólności swych celów.

W niniejszej pracy mamy zamiar przedstawić naszemu społeczeństwu sposoby i środki, jakiemi inteligentne klasy amerykańskie starają się dźwignąć kulturę niższych warstw społecznych. Sądzę, że niejedne z tych środków dałyby się z pożytkiem zastosować i w naszym kraju. W Ameryce wydają one świetne rezultaty. Jeżeli zaś coś jest możebnem wśród takiego aglomeratu różnych narodowości, jaki przedstawia publiczność amerykańska, to dla czegóż by to nie miało wewnętrznych warunków powodzenia wśród stosunkowo jednolitej naszej ludności słowiańskiej? Ludzi dobrej woli u nas z pewnością nie braknie. Może kto z nich znajdzie pożyteczne wskazówki w tej pracy.

II.

Osady uniwersyteckie. (University seklements.)

Instytucya ta została przeniesiona do Ameryki z Anglii w r. 1889. Od tego czasu przyjęła się na gruncie amerykańskim tak dobrze, że w północnych stanach jest obecnie górą 30 osad tego rodzaju.

Idea zasadnicza osad uniwersyteckich polega na zbliżeniu niższych warstw społecznych do kultury i nauki ludzi, posiadających najwyższe wykształcenie w danem społeczeństwie. To też przedewszystkiem osada uniwersytecka tworzy się przez zamieszkanie pewnej ilości ludzi posiadających uniwersyteckie wykształcenie i w większości wypadków stojących w związku z uniwersytetami w dzielnicach roboczych. Ludzie ci wnoszą życie kulturne w sfery takie, któreby się bez ich pomocy spotkać z niem nie mogły. Ażeby zrozumieć zadanie takich osad, trzeba wiedzieć, że człowiek z ludu w Ameryce w większych centrach jest bardzo izolowany. Nie styka się on wcale bezpośrednio z inteligentniejszemi klasami. Pracując dzień cały we fabrykach, wieczory spędza w „saloon'ach“ (rodzaj naszych szynków), albo w klubach, gdzie się spotyka tylko z równemi sobie wykształceniem ludźmi. Ztąd też wszelakie objawy życia towarzyskiego wśród robotników amerykańskich mają grubą formę. Oddziaływanie na te warunki za pomocą wnoszenia delikatniejszych upodobań do ludu jest jednem z głównych zadań osad uniwersyteckich. To też od osady takiej wymaga się przedewszystkiem rozpoznania warunków bytu klas pracujących. Osadnicy starają się wejść na stopie przyjacielskiej w życie ludu ich otaczającego. Starają się oni nawiązywać stosunki wszędzie, gdzie się to udać może. Ztąd też zbliżają się przedewszystkiem do ludzi nienajniżej stojących na szczeblach społecznych, tak n. p. do dobrze stojących ekonomicznie robotników, drobnych przemysłowców, handlarzy i subjektów handlowych etc. Pomału, za pomocą tych ludzi, udaje się przeniknąć i w najbiedniejsze klasy ludności.

Poznajamiając się z całą okolicą, osadnicy tacy starają się zbadać, jakie kwestye zajmują najbardziej ludność w danej miejscowości, jakiego rodzaju stosunki rodzinne panują wśród ludu, jaki nastrój religijny, jacy są kierównicy organizacyi, znajdujących się w tem miejscu, i jakie jest zadanie i cel owych organizacyi? To wszystko robi się za pomocą wizyt, składanych wszędzie w sąsiedztwie, urządzania przyjęć w samejże osadzie dla sąsiadów i przez wstępowanie w związek z okolicznemi organizacyami, przemawianie na ich mityngach etc. etc. W największej ilości wypadków działalność osadników rozpoczyna się od założenia ogródka dla dzieci, gdyż przekonano się, że w ten sposób najłatwiej zawięzują się stosunki z całą okolicą. Droga, którą większość osad przebyła, jest następująca. Zakłada się ogródek dziecinny, i kiedy już się zebrała dostateczna ilość dzieci, zaprasza się ich matki na pogadankę, tyczącą się kwestyi wychowania dziecinnego. Po niejakim czasie zawiązuje się klub towarzyski w pośród matek dzieci, drugi także klub wśród nauczycielek ze szkół okolicznych, które już uprzednio najczęściej dopomagały do prowadzenia ogródka. Dalej tworzą się kluby wśród starszych dzieci: chłopców i dziewcząt, wśród dorastającej młodzieży, nakoniec wśród dorosłych mężczyzn. Pomału życie klubowe obejmuje całą okolicę i tysiącznemi nićmi związuje ją z osadą. Przypatrzmy się tym klubom. Jeden z członków, zamieszkały w takiej osadzie lub dojeżdżający do niej czasowo, podejmuje się być kierownikiem klubu. Przy tem wybiera sobie do prowadzenia klub, mający jakieś zadanie, wchodzące w zakres jego kompetencyi. Tak np. student, zajmujący się naukami przyrodniczemi, podejmuje się kierownictwa klubu chłopców studyujących przyrodę. Literat — prowadzi kółko nauczycieli ludowych, chcących bliżej się zapoznać z literaturą. Dobra i wykształcona gospodyni opiekuje się klubem dziewcząt, założonym w celu poprawy gospodarstwa domowego i t. d. i t. d. Taki przewodnik lub przewodniczka klubu jest zobowiązany bywać regularnie na posiedzeniach klubowych i dbać o to, aby się klub nie rozprzęgał i odpowiadał rzeczywiście swemu zadaniu. Przytem musi starać się urozmaicać posiedzenia klubowe, wnosić tam jakiś nowy żywioł, urządzać od czasu do czasu wycieczki wspólne, specyalne towarzyskie wieczorki tego klubu (reception) itd. Kierunek ten musi jednak być oparty więcej na warunkach wewnętrznych, tj. na przewadze umysłowej danej osoby i na zaufaniu do niej członków klubu, niż na zewnętrznych formach. Tak np. kierownik niekoniecznie jest prezesem klubu. Przeciwnie chodzi nawet o to, aby istotny zarząd klubu był wybrany z pośród jego rzeczywistych członków. Członkowie ci zwykle mają jakieś specyalne znaczki, które noszą, i specyalną nazwę swojej działalności.

Kluby takie osięgają wielki wpływ, zwłaszcza wśród młodzieży. Wpływ ten objawia się nawet zewnętrznie. Chłopcy, którzy poprzednio byli ulicznymi łobuzami, i którzy nie mogli przemówić nawet parę słów bez grubiaństwa, pomału stają się prawdziwymi gentelman'ami. Wyuczają się mówić przyzwoicie, zachowywać zwykle formy grzeczności, uczą się nawet okazywać pewne względy dla kobiet. To ostatnie nabiera tem większego znaczenia, jeżeli zważymy, że grubijańskie obejście się z kobietami jest prawdziwą plagą wśród klasy robotników po miastach. Wskutek przyzwyczajenia do grzecznego traktowania kobiet wnosi się element względności do życia rodzinnego i zapobiega się wielu ciężkim przejściom, na które narażona jest uboga rodzina. Młodzież garnie się zwykle bardzo chętnie do takich klubów i jest z należenia do nich niezmiernie dumną. To ostatnie grozi nawet pewnem niebezpieczeństwem. Członkowie bowiem klubu wydzielają się z pośród wszystkich okolicznych towarzyszy i tworzą wśród nich jakby pewien rodzaj duchowej arystokracyi. To też od kierownika klubu wymaga się wiele taktu i rozsądku w sprawach życiowych. Musi on przyzwyczaić młodzież bez używania wszelkich silniejszych środków, i napomnień gwałtownych do form cywilizowanego życia. Musi ich nauczyć słuchać i mówić przyzwoicie, a przedewszystkiem musi w nich rozwinąć towarzyskie instynkta. Trzeba bowiem wiedzieć, że po wszystkich wielkich miastach rozwija się ogromnie wrogie uczucie człowieka do człowieka. Wśród dzieci uczucie to jest tak silne, że prześladują one w najdotkliwszy sposób każdą obcą postać, pojawiającą się na swojej ulicy. Tak np. negr, przechodzący ulicą w dzielnicy zamieszkałej przez słowian, jest obrzucany kamieniami. To samo dzieje się z porządnie ubranym człowiekiem wśród biednej dzielnicy, lub z żydem pośród ludności irlandzkiej.

Pod żadnym może względem wpływ osady uniwersyteckiej tak bardzo się nie ujawnił, jak pod tym ostatnim. Miejsca przez które przed paru laty przejść nie było można, nie dostawszy w kark kamieniami, po utworzeniu osady stają się pod tym względem zupełnie bezpiecznemi. Przeciwnie każdy, nawet mały chłopak w okolicy osady chętnie wskaże drogę przybyszowi i odda każdą małą przysługę, której od niego zapotrzebują. Wszystko to ma miejsce nie wskutek gołosłownych morałów, ale przez stykanie się w osadzie z ludźmi najrozmaitszych rodzajów i kondycyi i przez nawyknienie do pewnych form obcowania towarzyskiego, odpowiednich kulturnemu człowiekowi.

Klubowcy zwykle wnoszą małe składki miesięczne od 5 do 10 centów. Z tych składek kupują sobie różne ozdoby dla pokoju, w ktorym odbywają posiedzenia: chorągwie, portrety, obrazy etc. Od czasu do czasu urządzają sobie przyjęcia, składające się z kawy, ciastek, lodów itd. Czasami odbywają się też wspólne wycieczki do parków lub za miasto.

Co się tyczy regularnych posiedzeń takich klubów chłopców, to jeżeli celem ich jest nauka, to nauka ta nigdy nie jest podawaną w formie książkowej — suchej. Tak np. w klubach przyrodników kierownik ma przedewszystkiem za zadanie otworzenie oczu młodzieży na przyrodę, wyro-

bienie zamiłowania i upodobania w zewnętrznej naturze. To też chłopcy znoszą na posiedzenia rozmaite rodzaje motyli i robaczków, złapanych gdzieś na bulwarach albo na przedmieściach, muszle, konchy, rośliny, kamienie itd. Kierownik naturalnie objaśnia im niezrozumiałe rzeczy, tłumaczy, opowiada, pokazuje rysunki, dostarcza sam ciekawych egzemplarzy i stara się prowadzić naukę w tonie przyjemnej pogawędki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Reforma studyów lekarskich.

W „Przeglądzie lekarskim" ogłosił przed niedawnym czasem prof. dr. Napoleon Cybulski szereg artykułów poświęconych sprawie reformy studyów lekarskich w Austryi. Ponieważ rodzaj naukowego przygotowania lekarzy na niemieckich uniwersytetach, gdzie nasza młodzież się kształci, równa się niemal zupełnie metodzie przyjętej w austryackich wszechnicach, zatem podajemy poniżej w streszczeniu wywody zasłużonego profesora, które zainteresują niewątpliwie nietylko koła lekarskie, lecz całą myślącą publiczność.

Sprawa reformy studyów lekarskich dotychczas w piśmiennictwie lekarskiem prawie poruszaną nie była — zajmowały się nią jedynie sfery urzędowe. Wypowiedzieli opinię swą referenci sanitarni, profesorowie wydziałów lekarskich — w końcu ankieta, złożona z delegatów Wydziałów lekarskich, Izb lekarskich, protomedyków i kilku zaproszonych luminarzy medycyny. Wnioski tą drogą zebrane posłużą prawdopodobnie ministerstwu za podstawę do zamierzonej reformy. Dziwnie uderza jednak fakt, że prasa lekarska tym razem ograniczała się tylko do podania gołosłownych uchwał, nie rozbierając krytycznie takowych. A szkoda! Opinie te bowiem budzą obawę, że nie były pozbawione niektórych znamion jednostronności.

Z kolei rozbiera profesor Cybulski pytanie, czy reforma studyów lekarskich jest potrzebną, czy nie — i wysnuwa wniosek, że potrzebę reformy tej odczuwają wszyscy, którzy bliżej sprawy tej stoją i z blizka na nią patrzą.

Ostatnia reforma studyów lekarskich w Austryi miała miejsce w r. 1872. Od tego czasu mija już lat prawie 25, a w czasie tym medycyna postąpiła niezmiernie naprzód; powstały nowe działy nauki, tak czysto teoretyczne, jak i w dziedzinie praktyki lekarskiej.

Zmieniał się system nauczania, który wymagał rozszerzenia nauki lekarskiej prawie we wszystkich kierunkach. Musiano mianować profesorów do histologii, embryologii, laryngologii, otyatryi, chorób nerwowych, umysłowych, hygieny, policyi lekarskiej i t. d. Od ram ustawy z r. 1872 odbiegliśmy bardzo znacznie, a nowe wymagania ciągle postępującej nauki lekarskiej spowodowały różne zmiany — które stały się czysto przypadkowo — bez niezbędnej w materyi tej dokładności. Z powodu tego wytworzyły się pewne usterki w nauczaniu, które z konieczności swej odbić się musiały na postępach studentów medycyny. Ukończeni lekarze ostatnich czasów mają za mało wiadomości z zakresu medycyny praktycznej. Ten zarzut był głównym motywem w opiniach referentów sanitarnych, ankiet i Wydziałów leczniczych.

Niedostateczna znajomość medycyny praktycznej u kończących studya może pochodzić tylko z trzech następujących powodów: 1) studenci, zapisujący się na wydział lekarski, są niedostatecznie przygotowani do tej nauki. 2) Młodzież obecna uniwersytetów mało pracuje lub mało ma czasu do pracy. 3) Sposób nauczania przedmiotów medycyny praktycznej jest nieodpowiedni.

Profesor Cybulski uważa, że rzeczywiście młodzież z gimnazyów naszych wychodząca, zamało jest przysposobiona do studyów lekarskich. Maturzyści odnoszą słabe tylko wiadomości z zakresu fizyki, nauk przerodniczych, matematyki i geometryi. Przewaga kierunku humanistycznego w naszych szkołach średnich powoduje, iż młodzież pozbawioną jest zupełnie umiejętności myslenia obrazowego, co w wysokim stopniu utrudnia naukę takich przedmiotów, jak anatomia, histologia, embryologia. Myśleć obrazowo, wyobrażać sobie łatwo kształt rozmaitych przedmiotów, których się nie widzi — jest to rzecz, którą się zdobywa tylko drogą mozolnego ćwiczenia. W gimnazyum jedyną nauką obok przyrodniczych, która tego rodzaju myślenia wymaga, jest geometrya, a w szczególności stereometrya, lecz właśnie tę naukę traktuje się u nas prawie *per non est*. Z tego powodu student 1-go roku medycyny nie może sobie wyobrazić, jak wygląda skośny przekrój walca lub stożka — i nie jest w stanie z przekrojów, które widzi pod mikroskopem, tworzyć sobie kształtu całej bryły. Niedostateczne przygotowanie z zakresu fizyki stanowi bardzo znaczne utrudnienie w zrozumieniu przyrządów fizyologicznych. Profesor fizyologii zmuszony jest tedy opisanie każdego przyrządu fizyologicznego poprzedzić dokładnym wykładem prawa fizycznego, na którem przyrząd ten polega, wskutek czego wiele czasu dla medyków jest w pierwszych dwóch latach straconem. Przez przeciąg tego czasu uniwersytet musi wyrównać luki w naukach okazujące się uczniom po opuszczeniu gimnazyum — tak, że po dwóch latach studenci medycyny stają się już dostatecznie przysposobieni do odbywania dalszych studyów. Profesor Cybulski mniema jednak, że niedostatecznego przygotowania do studyów lekarskich — w pierwszych stadyach pobytu młodzieży na uniwersytecie - nie można uważać za główną przeszkodę w nabywaniu wiadomości z zakresu medycyny praktycznej.

Co się tyczy drugiego czynnika, t. j. czy uczniowie za mało nie pracują, odpowiada szanowny profesor przecząco. Uczniowie Wydziałów lekarskich, tak w Krakowie, jak i gdzieindziej — pracują dostatecznie w domu i pilnie uczęszczają na wykłady teoretyczne i ćwiczenia praktyczne. Ze pomimo ich pracy ostateczny wynik wypada ujemnie, pochodzi to także z krótkości czasu. Ferye i święta pochłaniają bowiem przeszło pół roku: 3 miesiące trwają ferye główne, 1 miesiąc na Wielkanoc, tydzień na zapusty i tyleż na na Zielone święta. Gdy do tego dodamy także nabożeństwa i inne obchody, będziemy mieli okrągłe pół roku przerwy, a nawet często więcej. Niezbędne są tedy w tej mierze zarządzenia ministeryum, któreby ograniczyły nieco długość tych feryi i wolność słuchaczy — i wymagały od profesorów większej ścisłości w wypełnianiu obowiązków. Liczne bowiem wyjazdy profesorów zmniejszają tę i tak małą ilość wykładów. W przyszłości proponowałby profesor Cybulski, aby każdy z profesorów, którbyby chciał choć na dwa dni z powodu wyjazdu przerwać wykłady, obowiązany był natychmiast o tem dziekana zawiadomić. Ten zarządziłby bezzwłoczne zastępstwo bądź przez profesora pokrewnego przedmiotu, bądź przez docenta, lub asystenta tak: aby słuchacze nie byli narażeni na niepotrzebną stratę czasu. Nadto ustawa nowa powinnaby baczyć, aby wykłady odbywały się nie jak dotychczas podczas godzin wykładowych, ale poza niemi. W ten sposób uzyskałoby się znacznie więcej do nauki czasu i reformę w tym kierunku uważa profesor Cybulski za donioślejszą, niż przedłużenie studyów lekarskich na obecnych warunkach do lat sześciu.

Że obecny system nauczania przedmiotów lekarskich jest nieodpowiedni, to fakt udowodniony. Nauka lekarska postąpiła znacznie, potworzyły się całe szeregi specyalistów, którzy pomimo wielkich zdolności zaledwie w stanie są objąć obszar faktów, odnoszących się do jednej specyalnej dziedziny; a o innych działach medycyny specyaliści zaledwie słabe tylko mają wyobrażenie. Obecnie jest już rzeczą niemożliwą, aby w mózgu jednego człowieka mogła pomieścić się cała nauka lekarska, wszystkie szczegóły z różnych specyalnych dziedzin tej nauki. Nieuniknioną konsekwencyą takiego stanu rzeczy musi być wniosek, że wymagać od ukończonych słuchaczów znajomości całej nauki lekarskiej jest rzeczą nielogiczną i niemożliwą. — Profesor Cybulski wyraża następnie, co od młodego lekarza wymagać powinny Wydziały lekarskie. — Po pierwsze powinien on przez czas studyów wyrobić sobie ogólny pogląd na całą naukę i posiąść gruntownie zasady metod badania ustroju ludzkiego, oraz zrozumieć wszystkie zasadnicze jego funkcye. Po drugie winien przyswoić sobie gruntowną znajomość wszystkich tych postaci chorobowych, z któremi jako lekarz praktykujący na prowincyi najczęściej spotkać się może. Po trzecie powinien wyrobić w sobie tę sumienność, aby w przypadkach dla siebie wątpliwych, uważać sobie za obowiązek odwoływanie się do pomocy specyalistów.

Potrzeba także koniecznie zastanowić się nad tem, co z każdej dziedziny adept sztuki lekarskiej wiedzieć dokładnie powinien, a co tylko powierzchownie; koniecznem jest w tej sprawie porozumienie się między profesorami. Każdy z nich bowiem uważa swój przedmiot za najważniejszy i dowolnie wymaga od studentów znajomości dokładnej najdrobniejszych nawet szczegółów. Za tem idzie, że uczniowie są strasznie przeciążeni pracą i o zdobycie niektórych drobnych wiadomości kusić się tylko muszą p r o r i g o r o s o, bo one im później i n p r a x i p r i v a t a zgoła nie są potrzebne, N. p. w chirurgii uczeń zmuszony jest wykuć wszystkie sposoby operacyjne resekcyi, laparatomii i t. d., w okulistyce różne sposoby operacyi zaćmy, sposoby wykonywania irydektomii i t. d. Wszystko to jest zbyteczne. Lekarz bowiem praktyczny na prowincyi, prosto z igły osiadły, nie będzie tam wykonywał resekcyi stawów ani laparotomii, jak również operacyi warstwowych zaćmy, lub irydektomii — tylko odeśle chorego do specyalisty do wielkiego miasta; specyalista zaś musi się tych przedmiotów nauczyć, już po uzyskaniu patentu. Zatem przed reorganizacyą studyów lekarskich, wypadałoby zdaniem profesora Cybulskiego zwołać ankietę, która miałaby za zadanie, na podstawie porozumienia się i opinii rozmaitych specyalistów, ułożyć program najodpowiedniejszy studyów lekarskich, z oznaczeniem zakresu wymagań od kończących te studya.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika Warszawska.

Warszawa, 10 sierpnia.

(Sprawa oświaty ludowej — Rusyfikacya. — „Dniewnik“. — Wystawa hygieniczna. — Teatr. — „Nieszczęśliwi“ i „Popychadło“. — Żniwo.)

Ciągnąca się od blisko dwóch lat głośna sprawa oświaty ludowej w tych dniach stanowczo została zakończona rozkazem z Petersburga, nakazującym umorzenie całego śledztwa. Nie wiem czy znane wam są szczegóły tej sprawy, trzymającej przez czas tak długi w gorączkowem naprężeniu uwagę tutejszej publiczności. Winnymi straszliwej zbrodni byli słuchacze instytutu agronomiczno-leśnego w Puławach i kilku studentów tutejszego uniwersytetu, którzy celem podniesienia oświaty rozdzielali pomiędzy lud w okolicach Puław książki do czytania, nawiasem mówiąc przeważnie dozwolone przez cenzurę rosyjską. Naczelnik żandarmów jen. Brock wpadł na trop tego „spisku“ i pospołu z głównym prokuratorem Turanem rozpoczął energiczne śledztwo. Aresztowano znaczną liczbę studentów i włościan, podejrzywanych o współudział w tym niebezpiecznym zamachu na całość rosyjskiego państwa i trzymano ich całe miesiące w więzieniu. Sprawa ta przybierając coraz groźniejsze rozmiary i pochłaniając coraz większą liczbę ofiar, ciągnęłaby się zapewne do nieskończoności, gdyby reklamacye wystosowane przez rodziny uwięzionych studentów, nie zwróciły na nią uwagi ministra sprawiedliwości, który zażądał przedstawienia sobie akt śledztwa. Z akt tych przekonał się oczywiście minister, że sprawa ta, wydęta przez tutejszych czynowników do rozmiarów politycznego spisku, nie zawiera w sobie nic karygodnego. Nakazał więc natychmiastowe zaniechanie dalszego śledztwa i wypuszczenie na wolność wszystkich obwinionych. Mówią też, że niełaska, jaka spotkała Brocka, pozostaje w ścisłym związku z jego skompromitowaniem się w walce z oświatą ludową. Skompromitowany jest również prokurator izby sądowej Turan, którego wymieniano jako najpoważniejszego kandydata na świeżo kreowany urząd pomocnika policyjnego przy generał-gubernatorze, w miejsce skasowanego urzędu naczelnika żandarmów w Królestwie Polskiem. Prawdopodobnie ominie go teraz to wpływowe stanowisko.

Od czasu do czasu więc reklamacye, przeciwko nadużyciom i samowoli władz tutejszych, wystosowanych do petersburskich sfer decydujących, odnoszą pożądany skutek. Po za tem jednak rusyfikacya naszego kraju na każdem polu postępuje w dotychczasowem tempie. Naturalnie rusyfikacya ta jest czysto zewnętrzna, mechaniczna, nie wnikająca w głąb duszy narodu, nie przekształcająca jego istoty. W obec też znikająco drobnego procentu, jaki stanowi w zaludnianiu Królestwa Polskiego żywioł rosyjski, trudno marzyć o zruszczeniu tego kraju. Wysiłki więc zagorzałych rusyfikatorów z samej natury rzeczy ograniczać się muszą na nadaniu Królestwu Polskiemu zewnętrznej cechy kraju rdzenno rosyjskiego. Do tej kategoryi wysiłków należy także kampania, jaką od dawnego już czasu prowadzi „Dniewnik Warszawski“ przeciwko nazwie Królestwa Polskiego, domagając się zmiany tej nazwy na „gubernię przywiślańską“ lub „kraj przywiślański“. Domaganie zaś to opiera Dniewnik na rzekomym fakcie, że nazwa „Królestwo Polskie“ nie ma w dzisiejszych warunkach politycznych i geograficznych najmniejszej podstawy.

Czasami jednak warszawski organ rosyjski bierze nas w obronę i pod tym względem wykazuje pewne podobieństwo do waszych „Posenerek“ i „Tageblattów“. Sam bowiem napadając bezustannie na nasze społeczeństwo i narodowość i popierając nadzwyczaj gorliwie wszelkie dążenia rusofikatorskie, gniewa się gdy mu korespondenci warszawscy do pism moskiewskich i petersburskich psują interes, przesadzając go jeszcze w szowinizmie a przedewszystkiem w manii denuncyatorskiej. Tak świeżo wystąpił „Dniewnik“ przeciwko „Nowoje Wremia“, której korespondent warszawski upatrywał w obchodzie św. Józefa w Kaliszu intrygę polską.

W ogóle korespondent ten miarodajnego petersburskiego organu zdaje się cierpieć na manię prześladowczą i na każdym kroku wietrzy spiski. Oto najbardziej jaskrawy i przytem najśmieszniejszy przykład: na placu wystawy hygienicznej jest fontanna, a w środku jej olbrzymich rozmiarów niedźwiedź biały z gipsu dławiący delfina. W rzeźbie tej upatrywał korespondent wielce niebezpieczną dla całości rosyjskiego państwa alegoryę. Zdaniem jego biały niedźwiedź przedstawiać ma Moskala, a delfin wykazuje jakoby rażące podobieństwo do syreny (herb Warszawy). Na domiar złego niedźwiedź nie udał się rzeźbiarzowi, i sprawia w rzeczy samej wrażenie, jakoby cierpiał na obstrukcyę.

Należy się słów kilka i samej wystawie. Wyznaję, że poddając się suggestyi niektórych pism tutejszych miałem pewne uprzedzenie do wystawy hygienicznej i zwlekałem bardzo długo z jej zwiedzeniem. Ulegając jednak żyłce dziennikarskiej, która mi nakazuje wścibić nos we wszelkie, choćby najniepotrzebniejsze i najniewłaściwsze rzeczy i sprawy, wybrałem się przed kilkoma dniami w podróż na ulicę Kaliksta, aby się przekonać, że uprzedzenie to, które zresztą zdaje się dzielić ogromna większość mieszkańców Warszawy — wystawa stale świeci pustkami — jest nie słuszne. Wystawa bowiem zawiera mnóstwo ciekawych bardzo okazów nie tylko z dziedziny hygieny, ale i ludoznawstwa. Pomówię o tem w innem miejscu obszerniej. Obojętność zaś publiczności warszawskiej tłomaczy się przedewszystkiem znaczną odległością placu wystawy od centrum miasta, po części także osobistością głównego inicyatora i kierownika wystawy. Dr. Pollakowi trudno odmówić niezwykłej energii i gorliwości, po za tem jednak przypomina daleko więcej pruskiego podoficera niż uprzejmego lekarza warszawskiego i szorstkiem swem i samowolnem postępowaniem odstręcza wszystkich od siebie, a pośrednio i od swego dzieła.

Jak zwykle o tej porze, gdy teatry ogródkowe stanowią główną atrakcyę publiczności warszawskiej, tutejsza produkcya dramatyczna zaczyna przybierać prawdziwie niepokojące rozmiary. Nie ma więc tygodnia, w którymby się nie pojawiło na tak licznych obecnie scenach tutejszych kilka nowości. Są to przeważnie efemyrydy, płody mniej lub więcej poronione, ginące po kilku przedstawieniach na zawsze w zapomnienia fali. Pomiędzy tą masą tandety od czasu do czasu spotykamy się jednak z utworem, wykazującym poważniejsze zalety. Dziwnym zbiegiem okoliczności w bieżącej kampanii teatralne największe i po części słuszne uznanie zdobyły sobie dwa utwory autorów, występujących po raz pierwszy przed szerszą publicznością. Autorem „Nieszczęśliwych“ jest hr. Ronikier, dwudziestokilkoletni potomek znanej tutejszej arystokratycznej rodziny, z zawodu, jeźli się nie mylę, inżynier. Towarzyskim też swoim stosunkom zawdzięcza p. Ronikier w pewnej części hymny tryumfalne, jakiemi miarodajni tutejsi recenzenci powitali jego pierwociny literackiej działalności, wzorowane żywcem na utworach współczesnych niemieckich i francuskich realistów. Zgrzeszyłbym jednak niesprawiedliwością, odmawiając „Nieszczęśliwym“ dość poważnych zalet, ujawniających się mianowicie w trafnej charakterystyce działających osób, dowodzącej dużo obserwacyi życia i jego objawów u młodego autora. Swoją drogą „Nieszczęśliwi“, prawdopodobnie z powodu zbyt pesymistycznego swego nastroju, nie zdołali sobie zjednać uznania tutejszej ogródkowej publiczności. Po dwóch przedstawieniach wycofano tę sztukę z afisza.

Natomiast niezwykłem powodzeniem cieszy się „Popychadło“ p. Szutkiewicza. Nie mam zaufania, pouczony tylokrotnem doświadczeniem, do sztuk napisanych przez aktorów — autorem „Popychadła“ jest średniej miary aktor prowincyonalny. Z pewnem też niedowierzaniem udałem się do „teatru łódzkiego“ goszczącego w odpowiednio przerobionym gmachu cyrkowym na tę sztukę. Spotkała mnie przyjemna niespodzianka. Wprawdzie i „Popychadło“ nie jest arcydziełem, spostrzegłem jednak w niem zalety, których brak zwykle utworom aktorskim, a mianowicie trafna bardzo obserwacya życia, zwłaszcza t. zw. niższych warstw ludności warszawskiej. Do podniesienia utworu przyczynia się wyborna gra artystów: pp. Trapszy i Winklera w głównych rolach mężkich, pp. Trapszowej i Przybyłkówny w kobiecych. Gwiazdą jednak teatru łódzkiego jest p. Wróblewska, która od czasu poznańskiego swego pobytu zrobiła znaczne postępy i która ma pewne widoki objęcia ról bohaterek na scenie warszawskiej. „Wodewil“ wystawił zabawne lecz pozbawione głębszej wartości „Baby“ Przybylskiego i Klemensa Junoszy; w „Belle-Vue“ stanowi w dalszym ciągu siłę przeciągającą tłumy publiczności „Jadzia wdową“ Ruszkowskiego. Jedną z głównych ról kobiecych gra obecnie w tej sztuce znana poznańskiej publiczności p. Trzcińska, którą zaangażował p. Rygier na sezon zimowy do Poznania. Zdziwi was zapewne, że w tym przeglądzie teatralnym pominąłem milczeniem „przyzwoity“ teatr. Cóż kiedy pomimo zmiany reżysera pierwsza nasza scena nie daje znaków życia. Przepraszam, wystawiono wtych dniach w teatrze Rozmaitości po raz pierwszy — „Komedyantów“ Paillerona.

Zapowiedziany na tegoroczną jesień przyjazd cara do Warszawy i Spały został odwołany z powodu oczekiwanej w tym czasie słabości cesarzowej. Do Spały przyjedzie na polowanie w. ks. Włodzimierz, stryj obecnego cara. Wysnuwają z tego przyjazdu rozmaite, pozbawione wszelkiej faktycznej podstawy kombinacye.

X. W.

TO I OWO.

Andrée w podróży do bieguna.

Z wielkiem zajęciem śledzi świat cały przygotowania śmiałego aeronauty Andréego, który przedsięwziął ryzykowną podróż balonem do bieguna północnego Berlinski (Local Anzeiger) znalazł się w kropce i wysłał specyalnego korespodenta na Szpizberg, zkąd Andrée ma wyruszyć. Telegram tego pana, wysłany okrętem do najbliższej stacyi telegraficznej w Tronsö, dnia 30 z. m., brzmi jak następuje:

„Napełnienie gazem balonu już ukończone. Balon nieść może 5,000 klg., którą to wagę podał już Andrée poprzednio. Próby co do ubytku gazu, wskutek ciśnienia powietrza atmosferycznego, nie zupełnie stwierdziły obliczenia Andréego. Wiatr południowy, który z końcem miesiąca lipca wiał pomyślnie, zmienił swój kierunek i rozpoczęła się słota. Stacya meteorologiczna zapowiada jednak wkrotce powrót tego wiatru i Andrée ma wszystko w pogotowiu, by wyruszyć w podróż.“

W dalszym ciągu publikuje Lokal Anzeiger rozmowę swego korespondenta stockholinskiego z inżynierem Malborgiem, szkolnym kolegą Andréego.

— Co pan sądzi o śmiałym aeronaucie? — pytał korespondent.

— Na razie trudno mi odpowiedzieć dokładnie — rzekł już Malborg — lecz znając od wielu lat energię mego kolegi i jego plan podróży, jestem przekonanany. że albo podróż powiedzie się szczęśliwie, albo Andrée życiem to przypłaci.

Lata całe pracował nad projektem i doświadczenia prowadził bardzo szczegółowe, pozyskując równocześnie sympatyę ludzi, którzy mu przyśli z pomocą materyalną do śmiałego przedsięwzięcia. Życie swoje postawił na jedną kartę i nie cofnie się zapewne przed niczem.

— Sądzisz, panie inżynierze, iż balon będzie w stanie bujać w powietrzu, może i tygodnie całe?

— To najważniejsze właśnie pytanie. Andrée nie przystąpił do dzieła lekkomyślnie. W pierwszej linii studyował prężność różnych gazów, oraz ich odporność na ciśnienie powietrza atmosferycznego i udało mu się wynaleźć stosowną mieszaninę gazów lekkich. Aby przeszkodzić zbytniemu wzniesieniu się balonu, gdyż w pewnej wysokości, gaz wypełniający wnętrze balonu musiałby silniej rozprężać się i ubywać, zaopatrzył Andrée balon w liny, które spoczywają na powierzchni balonu i ciężarem swoim nie dopuszczają, by balon zbytnio gazy wewnętrzne rozdymały. Końce tych lin wloką się po ziemi i tarciem swojem wytwarzają rodzaj balastu. Dalej skonstruował Andrée żagle, które pozwalają na pewne zboczenie w razie niepomyślnego wiatru. W czasie jednej z prób, które Andrée z balonem „Swea“, w roku 1894, wykonał, żagle te pozwoliły mu utrzymać balon we właściwym kierunku, mimo, że wiatr dął o 25 stopni skośnie. Zapewne, że i balon przeznaczony do wyprawy podbiegunowej, musi mieć żagle, które pozwalałyby utrzymać go we właściwym kierunku, choć wiatr będzie od tego kierunku zbaczał więcej nawet niż o 25 stopni.

— Czy śmiały podróżnik nie będzie narażony na zbytnie zimno?

— To niemożliwe — odparł inżynier Malborg. — Studya przeprowadzone wykazały, że mróz okolic Szpicbergu, w miesiącach lipca i sierpniu nie przekracza 11 stopni niżej zera, a ponieważ okolice te oddalone są tylko o 11 stopni szerokości od bieguna, nie należy się spodziewać o wiele silniejszych mrozów w tej porze roku.

— Czy nie należy przypuszczać, że Andrée i jego towarzysze mogą minąć biegun nie zauważywszy tego?

Na to odparł inżynier:

— O tem będzie balon informować kompas w pierwszej linii, oraz astronomiczne spostrzeżenia na miejscu czynione, przez chronometry i sekstanty. Zresztą Andrée zaopatrzył się w najnowsze aparaty naukowe. Ta podróż ta nastręcza na razie wiele pytań, na które nie można znaleść odpowiedzi, gdyż zbywa na danych, tego nikt nie zaprzeczy. Gdyby przedsięwzięcie Andréego było zwykłej natury, nie śledził by świat cały z naprężeniem daty rozpoczęcia podróży mego kolegi i nie wyczekiwałby gorączkowo rezultatów. Lecz gdyby nawat Andrée nie dotarł aż do bieguna, to wiadomości zebrane z okolic dotąd nieznanych, będą bardzo cennym nabytkiem naukowym. Jednego należy sobie i Andreemu życzyć, aby mógł wrócić, lub przynajmniej dać znać, co spostrzegł i zbadał.

Na tem skończyła się rozmowa. Andrée zabrał z sobą mnóstwo gołębi pocztowych, przez które ma zamiar posyłać od czasu do czasu, o sobie wiadomości. Czego dokaże, zobaczymy wkrótce. *J. Tyrowicz.*

* * *

Rozmowa Brandesa z Chińczykami.

Znakomity krytyk duński, Jerzy Brandes, umieszcza obecnie w fejletonach Neue fr. Presse wspomnienia ze swego ostatniego pobytu w Londynie, dokąd jeździł celem studjów nad Szekspirem. W pewnem towarzystwie spotkał też kilku Chińczyków, z którymi rozmawiał o sprawach literackich i społecznych. Treść tej rozmowy, którą podaje Brandes, jest dość zajmującą i dla naszych czytelników.

„Zwrócono moją uwagę na sekretarza poselstwa chińskiego, p. Kindżista Canga, syna owego sławnego markiza Canga, który brał wybitny udział w powstaniu Tonpingów. Zawiązałem z nim rozmowę, którą próbowałem rozpocząć od słów, że imię jego ojca jest mi znane. Dotknęło go to, jak mi się zdawało trochę niemile, gdyż odpowiedział z wymuszonym uśmiechem.

— Muszę zwrócić uwagę pańską. że nie reprezentuję tutaj swego ojca, jeno rząd chiński.

Rozmowa zeszła na rozmaite poezje klasycznej literatury chińskiej. które znam dość dokładnie z tłumaczeń i wymieniłem mu te, które najbardziej podziwiam. To nam dało pole do bliższego zetknięcia się. Sam on poprzetłumaczał mnóstwo starych poematów chińskich — nie pomnę już, czy na angielski czy na francuski język, ale nie mógł znaleźć nakładcy.

Rozgadywaliśmy się o stosunkach literackich w Chinach.

— W ilu mniejwięcej egzemplarzach drukuje się u was książka wybitniejszego autora?

— Co najmniej w milionie egzemplarzy.

— W milionie?

— Nie zapominaj pan. że ludność Chin wynosi 450 milionów i że wszyscy dorośli umieją czytać!

Sama przez się wysokość takich nakładów nie jest zadziwiającą. Nawet w Danii popularne pisma ilustrowane drukują się w 100,000 egzemplarzy, a za granicą w kilku stach tysięcy. Bądź co bądź jednak jest to szczególne, jeżeli pomyślimy, że cała nasza biblioteka królewska z dodaniem biblioteki uniwersyteckiej liczy jeszcze o paręset tysięcy tomów mniej, niż nakład jednej jedynej książki wybitniejszego autora chińskiego.

Markiz Cang mówił dalej:

— Mimoto autor nie otrzymuje za swoją książkę żadnego honoraryum. Jego płacą tylko cześć: dokądkolwiek w Chinach przyjdzie, wszędzie go znają. Książkę jego może też przedrukowywać każdy, kto chce. Co napisał, to powinno stać się dobrem całego narodu. Jest to demokratyczne zapatrywanie. a my Chińczycy jesteśmy demokratami. Sądzę, że ten system jest pożyteczny, jest dobry. (Potem trochę podejrzliwie:) Widzę, że pan się uśmiechasz w duszy na te moje słowa. (Nie uśmiechałem się wcale). O. tak! Ale mimo to ja jestem demokratą i uważam to za rzecz zbawienną.

Innym razem zgadaliśmy się o stosunkach chińskich w porównaniu do europejskich.

— Stosunki te są w głównych zarysach całkiem jednakowe — mówił do mnie maleńki, inteligentny Chińczyk, mrugając swemi trochę ukośnemi oczkami. Zupełnie to samo, czy w Pekinie, czy w Londynie czy w Berlinie, czy w Paryżu!

Znałem już tę skłonność Chińczyków żyjących w Europie do możliwego zaprzeczania różnic między obyczajami wschodnioazyatyckiemi i europejskiemi, i dlatego nie dziwiąc się wcale temu twierdzeniu, zapytałem:

— Naprzykład?

— Weź pan religię! — odparł Chińczyk. — Tutaj prostaczkowie są chrześcianami, niebo dla dobrych, piekło dla złych itd. Wykształceni nie mają żadnej religii. U nas prostaczkowie są buddystami — niebo dla dobrych, piekło dla złych itd., a wykształceni nie mają żadnej religii. Widzisz pan, w Pekinie to samo, co i w Londynie i w Berlinie i w Paryżu.

— Ale stosunki między mężczyzną i kobietą — powiedziałem — są przecież zupełnie odmienne. Czy to prawda, co mi powiadano, że dziewczęta nigdy nie widują się z młodymi mężczyznami, nigdy z nimi nie rozmawiają? Czy może to tylko prawda na papierze?

— Nie, nie, to prawda rzeczywista.

— To znaczy, że to jest zakazanem, ale mimo to się dzieje?

— Nie, nie, wcale się nie dzieje! Dla dziewczyny pociągnęłoby to za sobą ogromną hańbę.

— Więc kiedyż i jak poznaje dziewczyna swego przyszłego męża?

— Poznają się oboje w sypialni ślubnej. Sądzimy, że to w samą porę.

— No, i dobrze im z tem?

On (z niewypowiedzianą przebiegłością w małych rozumnych oczkach):

— A tutaj dobrze?

Nad tą kwestyą oczywiście możnaby filozofować długo i szeroko. Poprzestałem jednak na następującej uwadze:

— Ale później. kiedy młoda żona naraz uczuje się wolną, obcuje z innymi mężczyznami i zakocha się przypadkiem w kimś innym, a nie w tym, z którym ją połączono jak kota w worku, co wówczas?

On, znowu z wyrazem niezmiernej przebiegłości, rzekł:

— Tego już się łatwo domyślić. U nas tak samo jak w Berlinie, jak w Paryżu, jak w Londynie.

— No tak, domyśleć się można. Ale co potem? Co w takim razie z nią robicie? Czy ją zabija mąż, czy państwo? Czy ją publicznie karzą śmiercią?

— Śmiercią? Broń Boże! Co też pan wymyśla! Zasądzają ją na 7, 8 lat domu poprawy.

— Siedm lub osiem lat domu poprawy! No, moje uszanowanie!

— No tak, chciej mnie pan jeno zrozumieć. Zasądzają ją, jeżeli wiedzą. Ale kiedyż to człowiek wie? W tem sęk. Człowiek nigdy tego nie wie. Jeżeli mężowi się zdaje, że to wie, to udaje, że nie wie. Bo po co mu się przyda to wiedzieć? Nie pomoże mu to nic. Widzi więc pan, u nas zupełnie tak, jak w Londynie, w Paryżu i w Berlinie.

Na Wyłomie.

(Grafomani. Apotezya niemieckich Urszulanek.)

Któraż redakcya nie zna grafomanów? Są wśród nich tacy, którzy kolejno pukają do wszystkich redakcyi, są i tacy, którzy ukochali stale jedno czasopismo i w pewnych odstępach czasu zaszczycają je arkuszami

własnoręcznie zapisanego papieru. Redaktor zna dobrze grafomanów swoich. Spojrzy na rękopis, uśmiechnie się i rzuca do kosza produkt tej dziwnej odmiany patologii mózgowej, która znaną już wprawdzie była mnichom średniowiecznym, lecz dopiero z rozwojem prasy urosła do znaczenia typu chorobliwego i zwróciła na siebie uwagę psychiatrów.

W dziennikarskiem życiu spotykałem nieraz tych literackich pacyentów, a mając z natury upodobanie do analizy zboczeń umysłowych, wczytywałem się z ciekawością w kołowroty myśli i chaosy wiązań stylowych, któremi grafomani karmią skrzynki redakcyjne. W szeregu zebranych dokumentów dwa mianowicie gatunki jednego typu patologicznego wybitne zajmują miejsce. Z pierwszym spotkałem się lat temu kilka w redakcyi „Dziennika Poznańskiego.“ W skrzynce do listów znajdowano trzy a nawet cztery razy tygodniowo zwitki złożone z brudnych skrawków papieru i urywków starych dzienników, — często w kopertach, czasem związane tylko nitką lub szpagatem. Wykazało się potem, że listy te kreśliła kobieta. Wszytko tam było zapisane dużemi, bardzo niezręcznemi literami. Rysunek kaligraficzny zdradzał rękę niewyrobioną, dziecięcą, — ortografia była zupełnie błędna, lecz zdradzała w błędach konsekwencyą pewną, — a treść składała się z dziwnej mieszaniny dewocyi, patryotyzmu, plotek brukowych, opisów życia rodzinnego i potrzeb domowych. Jakiś urywek modlitwy, kończył się np. ni ztąd ni zowąd skargą na sąsiadkę, która zdechłego kota przerzuciła na cudze podwórze, — jakieś „Jeszcze Polska nie zginęła“ wskazywało w ostatniej zwrotce ilość kaszy zakupionej na targu. Co jednak najcharakterystyczniejszem było w tym chaosie myśli i wężowisku cudacznych splotów stylowych, to widoczny wstręt do każdego kawałka nie zapisanego papieru. Każda kartka zapisaną była podwójnie, a nawet potrójnie. Po zapełnieniu stronnicy grafomanka obracała kartkę i kreśliła dalej hiroglify swoje między wierszami, a często jeszcze w poprzek rzucała tasiemcowe zdania. I nie dość na tem. W kącikach skrawków papierowych, gdzie po ukończeniu pisaniny oko dostrzegło jakąś białą oazę, nie pokrytą atramentem, autorka lokowała urywane słowa. Byle zakryć białość drażniącą mózg chory! Identyczną tendencyę wykazywały fragmenty starych dzienników, których marginesy zasiane były hiroglifami grafomanki, a każde niezadrukowane miejsce, markujące nowy ustęp, pokryte wyrazami bez związku i sensu. Razu pewnego udało mi się przydybać autorkę, wciskającą gruby zwój rękopisów swoich do skrzynki redakcyjnej. Była to kobieta lat 50, ubraniem swojem przypominająca przedmiejskie waspanie, twarz rumiana i okrągła, oko zamglone, włosy ukryte w dużym kapeluszu słomkowym, związanym pod brodą wstążką niebieską. Wyjąłem z szczeliny skrzynki otyły rękopis i zapytałem, czy życzy sobie, aby utwór jej znalazł gościnność w łamach Dziennika. Spojrzała na mnie mętnemi oczyma i z wielką powagą odparła:

— Matka najświętsza kazała.

Oświadczyłem, że rozkazowi temu stanie się zadość, a ona snać zachęcona uprzejmością mcją, powtarzała bezustannie, że „musi pisać“, że „świat jest zły“, że „oczy bolą, ale pisać trzeba“.

Przymieszka obłędu religijnego jest nader częsta u grafomanów. Pod wpływem wizyi religijnych siada do stołu i posłuszny halucynacyom chorej wyobraźni pisze i pisze aż do ostatecznego wyczerpania sił. O losy manuskryptów swoich nie troszczy się wcale. Wrzuciwszy rękopis do skrzynki lub powierzywszy go poczcie spełnił swój obowiązek i nigdy nie zdarzyło mi się spotkać maniaka tej kategoryi, żądającego zwrotu rękopisu lub zamieszczenia w łamach czasopisma.

Druga, częstsza jeszcze odmiana typu grafomanów, to psychopata zapisujący foljanty papieru pod wpływem bodźców zewnętrznych, czy to wypadków politycznych, czy to sensacyjnych dzieł naukowych, czy wreszcie zdarzeń należących do działu kryminalistyki. Różni on się od pierwszej kategoryi pewną jednolitością tematów i tą potrzebą presyi okolicznościowej dla rozbudzenia namiętności pisania. Pokazywano mi w jednej z berlińskich redakcyi człowieka, którego specyalnością były długie moralne traktaty na temat samobójców i morderców. Ile razy ktoś w Grunewaldzie przewiercił sobie piersi na wylot, ile razy w „Lokal-Anzeigerze“ pojawił się jaki „Fall Heinze“, lub „Kuba Rozpruwacz“, natychmiast zjawiał się grafoman z pliką papierów, bądź to krytykujących ofiary własnej zgryzoty, czy cudzego noża, bądź też lubujących się w kombinacyach co doosoby nieznanego mordercy. Obecnie od pewnego czasu zawarłem znajomość z dwoma maniakami powyższego typu, z których jeden zarzuca mnie listami z nad Sekwany, drugi z nad Wełtawy śle zwoje papierów. Pierwszy w elaboratach swoich milowych zdradza mistycyzm w rodzaju Towiańskiego i karmi mnie proroctwami o „kuli trzech duchów krążących nad światem“ o „bombie gniewu bożego“ która pęknie i ludzkość zdruzgoce, o „trzech liczbach kryjących przyszłość Europy“ itd. Drugi zdradza również niewątpliwe cechy mistycyzmu, farbuje jednak wszystkie rojenia polityczne barwikiem lirycznego słowianofilstwa. Czy to zamordowanie Carnota, czy wystawa etnograficzna w Pradze, czy dymisya Hurki, zawsze z tej strony liczyć mogę na całe zaspy „aktualnych“ artykułów, pisanych wprawdzie niezłą polszczyzną i zdradzających pewną energię stylu, lecz przesianych tym haftem chorobliwych uwidzeń i snów obłocznych, które stanowią rdzeń mistycyzmu. Jest to jakieś błędne koło, którego autor przekroczyć nie może i męczy się i powraca wiecznie do jednego punktu i kopiuje sam siebie na niezliczonych arkuszach papieru. Toczy się w tych rękopisach jakaś tragiczna walka między myślą błędną a słowem, drga jakiś strach bezustanny, że ktoś je pojmie fałszywie. Chwilami nawet zjawia się przebłysk idei rozumnej, lecz po sekundzie życia tonie w oceanie mistycyzmu.

Takim jasnym momentem jednego z grafomanów moich są pierwsze słowa artykułu p. t. „Córka wyrodna“ nadesłanego dzisiaj z frankaturą podwójną. Zabolała biednego maniaka-patryotę apoteoza wrocławskich Urszulanek, zamieszczona w „Dzienniku Poznańskim“, i oto chwytając autorkę idyotycznego elaboratu w dwa palce, jak szczypawkę, powtarza jej z namaszczeniem słowa bajki: „Różdżką duch święty dziateczki bić każe“. Załowałem istotnie, że naczelny organ „ładu i porządku“ nie znalazł rózgi na ukaranie korespondentki swojej, która ośmiela się zalecać wrocławski klasztor niemiecki, jako wzorowy instytut wychowawczy dla Polek. Sześćdziesiąt sióstr naszych i córek urabia umysły i serca swoje w warsztacie Niemek-Urszulanek, a my, zamiast rózgą siec grzbiety „Niepoprawnych“, wołamy: „Chwała wam wszystkim, co grosze polskie do cudzej niesiecie kieszeni i dzieciom swoim w atmosferze niemieckiej rość pozwolicie!“ Nie wiem, czy prawdą jest twierdzenie „Gońca Wielkopolskiego“, że wychowanki wrocławskiego zakładu okazują zamiłowanie do tańca po karczmach, w to jednak wierzę i to powtarzać będę bez końca, że żadna z tych wychowanek Emilią Szczaniecką nie będzie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

Pieśni i szkice Gustawa Kubik-Horodyńskiego, Lwów, nakładem A Kulczyckiego.

Autor ani się nie sili na orle loty, ani w zaciekaniach filozoficznych nie szuka dla pieśni swoich szerokiej podstawy, ani wreszcie formą ich nie należy do nowatorów poetycznych, którzy brzmienie końcówek i rytm ze słowem, a słowo z myślą usiłują stopić w jedną harmonię. Jednak trudno odmówić pewnego wdzięku takiej np. zwrotce, która ponadto dość trafnie oddaje główny nastrój tomiku

Daremnie śnić, gdy życia nić
Nie w naszą dana moc.
Lecz dobro siać, o bliźnich dbać,
Rozświecać ducha noc:
Na myśli miej — i miłość siej
A znajdziesz życia cel.

Prozaiczne „Szkice“ cechują bardzo dobre chęci. Najlepszym z nich jest „Ofiara“.

I. Zg.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Dowiadujemy się, że kilku z byłych artystów sceny poznańskiej zamierza utworzyć towarzystwo dramatyczne i w zimie objeżdżać miasta prowincyonalne. — W Beyreuth rozpoczął się 19 lipca nowy cykl Wagnerowskich oper: dyrygentem jest Zygfryd Wagner; przewidywany deficyt wynosi 100.000 mk., gdyż sprawiono nowe kosztowne dekoracye. — W warszawskim teatrze Małym wystawiono sensacyjną operetkę Varneya pt. „Owieczki.“ Rzecz pełna drażliwych sytuacyi rozgrywa się w sypialni pensyonarek. — Z teatrów berlińskich: Teatr Lessinga, na którego scenie dotąd rozbrzmiewały wesołe melodye operetkowe trupy Ferezy'ego rozpoczął w sobotę sezon wystawieniem czteroaktowej komedyi Oskara Waltera i Leona Steina p. „Panna doktór,“ przedstawianej już z wielkiem powodzeniem w Hamburgu i Lipsku. Jednocześnie z teatrem Lessinga rozwarły swe podwoje teatr pod Lipami, który wystawił „Krola Chilperyka“ z nową obsadą w partyach solowych baletowych, oraz teatr Centralny, próbujący ponownie szczęścia „Nocą stolona,“ która doczekała się dotąd już 254 przedstawień, a prawdopodobnie dociągnie i do trzeciej setki. Teatry: Nowy, Residenz, Schillera i Adolfa Ernesta, z uwagi na wystawę, wcale nie zawiesiły przedstawień. — Z sił dramatycznych zaangażowanych świeżo przez p. Rygiera dla teatru poznańskiego wymieniamy artystów i artystki następujące: panowie: Tarasiewicz (amant liryczny i bohater), Danielewski (komik charakterystyczny i lekki amant), Karpowicz (lekki amant), Olszewski (rezoner i komik), Neuman (do ról charakterystycznych); panie: Tańska (bohaterka), Biernacka (liryczno-naiwna), Wiśniewska (kokietka salonowa), Zalewska (rezonerka), Talko (amantka), Winiawska (do ról komicznych). Resztę nowych artystów podamy w jednym z najbliższych numerów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Ad. K. w Szamotułach.** Z nadesłanego wierszyka p. t. „Grabarze Ojczyzny“ korzystać nie możemy. Dużo tam uczucia — lecz formie brak warunków artyzmu.

— **S. S.** Na razie musimy zachować milczenie. Nadejdzie jednak chwila, w której gospodarce tej poświęcimy taką krytykę, na jaką zasługuje.

— **Pani Kuczalska-Reinschmit.** Na życzenie Pani notujemy, że wzmiankowany przez nas w poprzednim numerze artykuł o stanowisku kobiet poznańskich wobec nowego kodeksu cywilnego, zamieszczony był w lwowskim dwutygodniku „Ster.“

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28